

SALOMON ŁASTIK

KTO ZA WINIŁ? (1)

W obrazku tym nie ma cienia przerysowań. Jest to dość dokładna relacja z pewnego dramatycznego posiedzenia w jednym z Liceów Pedagogicznych. Posiedzenie to, dodaję, nie jest typowe, żadne bowiem nie trwa tak długo (ponad godzinę) ani nie porusza tak wielu spraw ogólniejszej natury, jak to. Aczkolwiek obrazek ten nie upoważnia do jakichkolwiek uogólnień, wskazuje jednak, przed jak ciężkimi dylematami staje często pedagog, jak boleśnie przeżywa „ciało pedagogiczne” następstwa własnych (czy tylko własnych?) przeżyć, stając oko w oko z rezultatami swojej naprawdy ofiarnej i trudnej pracy.

Ponieważ żadna z występujących w tym dramacie osób nie jest schematyczna (stara prawda: życie nie zna schematów, chwytaj się ich tylko kiepska literatura) i każda w istocie rzeczy jest jakby „zaprzeczeniem” postawy, którą powinna z urzędu reprezentować, oddając przebieg posiedzenia bez komentarzy, ujmając, że sens opublikowania tej relacji czytelnik sam nieomylnie odczyta.

Krótką prezentacją osób uczestniczących.

DYREKTORKA — kobieta o energicznym spojrzeniu i otwartym, inteligentnym, mocno pobrużdżonym ciele.

PROFESOR PEDAGOGIKI — kobieta w średnim wieku, o lekko przypłoszonych siwiznach, gładko zaczesanych czarnych włosach, ostrym spojrzeniu brązowych oczu i cienkich wargach ułożonych jakby do ironicznego uśmiechu.

POLONISTA — korpulentny pan w nieco wypłowiałym granatowym garniturze, o wodnistoniebieskich oczach, stary „fachowiec”, który wciąż jeszcze uważa, że istnieją dwie prawdy: jedną wygłasza się uczniom, druga jest z kategorii owych „mówiących między nami”...

HISTORYK — dobroduszy, niezdeterminowany, „belfer” podpowiadający nawet podczas egzaminów. Rzeczą dzieje się w pierwszych dniach czerwca w Liceum Pedagogicznym. Temat posiedzenia: ocena odpowiedzi populudniowej grupy siedmiu maturzystek z języka polskiego, nauki o Konstytucji i pedagogiki.

DYREKTORKA: Przypustujemy do oceny populudniowej siódemki. Muszę powiedzieć, że od '83 lat bywam na egzaminach, ale takiej ignorancji, jakiej dzisiaj byłam świadkiem, jeszcze nie napotkałam.

PEDAGOG: Nie przesadzajmy, Pani dyrektor chyba już zapomniała...

DYREKTORKA: Pamiętam dokładnie. Nie, nie było wypadku, by maturzysty nie wiedział, kiedy był Kopernik... Ale przejdźmy do oceny. (Zwraca się do Pedagoga): — Co koleżanka stawia Porębskiej z pedagogiki?

PEDAGOG: Dostateczny. Co prawda na lekcjach praktycznych była dobra, ale ostatnio opuściła się nieco w pracy.

DYREKTORKA: (do Polonisty): A kolega?

POLONISTA: Dostateczny. Mówi potwornie, ale co zrobić?...

HISTORYK: (nie czekając na zapytanie dyrektorki): Z Nauki o Konstytucji — dostateczny.

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę Popczykówny Ewy.

PEDAGOG: Stawiam dobrą.

DYREKTORKA: Dobrą? Przecież nie umie się posługiwać pomocami naukowymi!

PEDAGOG: Ja wystawiam oceny na podstawie całorocznej obserwacji. Ewa jest zdolna, świetna organizatorka i da sobie radę w pracy szkolnej.

DYREKTORKA: (Ironiczny, nieaprobujący ruch głowy, zwraca się do Polonisty): A Kolega?

POLONISTA: Bardzo nieskładnie mówi. Po prostu nie wiąże zdań, ale materiał przerobiła. Wystawiam dostateczny.

HISTORYK: I ja dostateczny.

DYREKTORKA: Przechodzimy do Poczwarek Wiesławy.

PEDAGOG: Ja — dostateczny.

POLONISTA: Ja tak samo.

HISTORYK: I ja również.

DYREKTORKA: Tak. A jednak nie dobrze się dzieje, że dziewczęta przychodzą na egzaminy w zielonych bluzkach, bez krawatów, i z zakasnymi rękawami. Świadczy to o braku szacunku dla Komisji Egzaminacyjnej i o braku elementarnej ogłady.

Jak one będą wychowywały dzieci, jak będą uczyły piękna, grzeczności, szacunku, jeżeli nie zdolałyśmy im samym wpoić tych wszystkich cech?

POLONISTA: Rzeczywiście, przykre. Ale cóż? Trochę tu i naszej winy. Przecież to są nasze ZMP-owskie aktywistki...

PEDAGOG: Nie róbnym tragedii. W szkole kierownik weźmie je w garść, to się utemperują. Muszę powiedzieć, że w reklamie Popczykówny zauważyłam świąteczkę. Siedziłam czy nie spróbuję z niej skorzystać. Nie skorzystała. Jednak te zakasane rękawy do czegoś im służyły...

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę dla Pierzchowskiej Stanisławy. Nie rozumiem, skąd aż taka ignorancja! Kopernik uciekł podczas okupacji z Warszawy, „Potopu” nie czytała, jak wprowadzić pojęcie ulamka nie ma złalonego pojęcia — i taka chce być nauczycielką!...

(Zwracając się do Pedagoga): A koleżanka wystawia jej jak najlepszą opinię...

PEDAGOG: Przepraszam, podkreśliłam w charakterystyce, że trochę leniuchuje...

DYREKTORKA (czyta charakterystykę): „Lekcje praktyczne wypadły dość dobrze, jest dość inteligentna, nadaje się do pracy w szkole”, „I to się mówi o dziewczynie, która uważała za możliwe nie wykorzystanie czasu wolnego na przygotowanie się do egzaminów, by nadrobić braki, by chociażby przeczytać „Potopu”...”

POLONISTA (do siebie) „Potopu” nie czytała... skandal!

PEDAGOG: Dziwi mnie bardzo, dlaczego dopiero teraz połapał się na jej ignorancję? Przecież nikt mi się na nią nie skarżył. A to, że się przyznała, że Sienkiewiczowskiej trylogii nie czytała, jest właśnie dowodem jej uczciwości. Gdyby się nie przyznała i odpowiadała ogólnikami, jak to czyniły inne, to by jej uszło. Nie wolno karać za uczciwość...

DYREKTORKA: (z gorzką ironią): „Uczciwość”... Czy to uczciwie chce dostać maturę, iść pracować do szkoły i nie znać fundamentalnego utworu naszej prozy należącego do lektury obowiązkowej? Czy to będzie uczciwie z naszej strony, jeżeli pozwolimy przestąpić próg szkoły podstawowej nauczycielce, która nie zna metodyki, nie wie kiedy żył i kim właściwie był Kopernik? Czy to będzie uczciwie pozwolić nauczać dzieci osobie, która właściwie z żadnego przedmiotu dzisiaj nie odpowiedziała należycie i trzeba jej było stawiać dodatkowe pytania, na które zresztą też odpowiadała bez ładu i składu?

HISTORYK (zwracając się do Pedagoga): Ja koleżance kilka razy mówiłem, że Pierzchowska nie odrabia lekcji.

PEDAGOG: Nie przypominam sobie. Warto by zajrzeć do dziennika... (Zmienia ton). W ogóle nie rozumiem, dlaczego staliśmy się ostatnio aż tak bezwzględni. Wygląda to nieco dziwnie... Uczniowie chodzili do liceum przez cztery lata, byli uważani za przeciętnych, bo wiadomo przecież, jaki element teraz przychodzi do nas i że praca nauczycielska nie jest teraz zajęciem atrakcyjnym. Zgłasza się przeważnie element wybrakowany z technikum zawodowego. A my dopiero teraz zauważyliśmy, że to jest element słaby! Czterech od razu nie dopuściliśmy do egzaminów maturalnych, dwie ścięły się podczas egzaminów piśmiennych, jedna już padła podczas egzaminów ustnych. Mamy więc już 10% ogółu maturzystów, nie dopuszczonych do pracy zawodowej. Czy chcemy jeszcze powiększyć ilość ofiar? Trzeba pamiętać, jak przyjęła nieotrzymanie matury Jadzia. Chcebie, by jeszcze jedna targnęła się na życie!

DYREKTORKA (z rozpaczą w głosie): Więc co robimy? Ile koleżanka daje jej z pedagogiki?

PEDAGOG: Ja dostateczny.

DYREKTORKA (do Polonisty): A kolega?

POLONISTA: Dostateczny. Mówi potwornie, ale co zrobić?...

HISTORYK: (nie czekając na zapytanie dyrektorki): Z Nauki o Konstytucji — dostateczny.

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę Popczykówny Ewy.

PEDAGOG: Stawiam dobrą.

DYREKTORKA: Dobrą? Przecież nie umie się posługiwać pomocami naukowymi!

PEDAGOG: Ja wystawiam oceny na podstawie całorocznej obserwacji. Ewa jest zdolna, świetna organizatorka i da sobie radę w pracy szkolnej.

DYREKTORKA: (Ironiczny, nieaprobujący ruch głowy, zwraca się do Polonisty): A Kolega?

POLONISTA: Bardzo nieskładnie mówi. Po prostu nie wiąże zdań, ale materiał przerobiła. Wystawiam dostateczny.

HISTORYK: I ja dostateczny.

DYREKTORKA: Przechodzimy do Poczwarek Wiesławy.

PEDAGOG: Ja — dostateczny.

POLONISTA: Ja tak samo.

HISTORYK: I ja również.

DYREKTORKA: Tak. A jednak nie dobrze się dzieje, że dziewczęta przychodzą na egzaminy w zielonych bluzkach, bez krawatów, i z zakasnymi rękawami. Świadczy to o braku szacunku dla Komisji Egzaminacyjnej i o braku elementarnej ogłady.

Jak one będą wychowywały dzieci, jak będą uczyły piękna, grzeczności, szacunku, jeżeli nie zdolałyśmy im samym wpoić tych wszystkich cech?

POLONISTA: Rzeczywiście, przykre. Ale cóż? Trochę tu i naszej winy. Przecież to są nasze ZMP-owskie aktywistki...

PEDAGOG: Nie róbnym tragedii. W szkole kierownik weźmie je w garść, to się utemperują. Muszę powiedzieć, że w reklamie Popczykówny zauważyłam świąteczkę. Siedziłam czy nie spróbuję z niej skorzystać. Nie skorzystała. Jednak te zakasane rękawy do czegoś im służyły...

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę dla Pierzchowskiej Stanisławy. Nie rozumiem, skąd aż taka ignorancja! Kopernik uciekł podczas okupacji z Warszawy, „Potopu” nie czytała, jak wprowadzić pojęcie ulamka nie ma złalonego pojęcia — i taka chce być nauczycielką!...

PEDAGOG: Nie róbnym tragedii. W szkole kierownik weźmie je w garść, to się utemperują. Muszę powiedzieć, że w reklamie Popczykówny zauważyłam świąteczkę. Siedziłam czy nie spróbuję z niej skorzystać. Nie skorzystała. Jednak te zakasane rękawy do czegoś im służyły...

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę dla Pierzchowskiej Stanisławy. Nie rozumiem, skąd aż taka ignorancja! Kopernik uciekł podczas okupacji z Warszawy, „Potopu” nie czytała, jak wprowadzić pojęcie ulamka nie ma złalonego pojęcia — i taka chce być nauczycielką!...

PEDAGOG: Nie róbnym tragedii. W szkole kierownik weźmie je w garść, to się utemperują. Muszę powiedzieć, że w reklamie Popczykówny zauważyłam świąteczkę. Siedziłam czy nie spróbuję z niej skorzystać. Nie skorzystała. Jednak te zakasane rękawy do czegoś im służyły...

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę dla Pierzchowskiej Stanisławy. Nie rozumiem, skąd aż taka ignorancja! Kopernik uciekł podczas okupacji z Warszawy, „Potopu” nie czytała, jak wprowadzić pojęcie ulamka nie ma złalonego pojęcia — i taka chce być nauczycielką!...

PEDAGOG: Nie róbnym tragedii. W szkole kierownik weźmie je w garść, to się utemperują. Muszę powiedzieć, że w reklamie Popczykówny zauważyłam świąteczkę. Siedziłam czy nie spróbuję z niej skorzystać. Nie skorzystała. Jednak te zakasane rękawy do czegoś im służyły...

DYREKTORKA: Proszę podać ocenę dla Pierzchowskiej Stanisławy. Nie rozumiem, skąd aż taka ignorancja! Kopernik uciekł podczas okupacji z Warszawy, „Potopu” nie czytała, jak wprowadzić pojęcie ulamka nie ma złalonego pojęcia — i taka chce być nauczycielką!...

ych. Tak elementarnych rzeczy, po 11 latach nauki szkolnej, nie może nie wiedzieć przyszły nauczyciel...

POLONISTA: Datę urodzin Prusa znała, ale w którym wieku żył — nie wiedziała. Jak to wytłumaczyć? A co powiedziała na temat „Dzieci w twórczości pozytywistów”, kilka nic nie mówiących ogólników, i to, że w „Antyku” Prus porusza problem opieki nad dzieckiem...

PEDAGOG: Czy rzeczywiście ona poności za to winę? A gdy Popczyk powiedziała, że „wartość artystyczna poezji Broniewskiego jest bardzo duża” czy powiedziała więcej i lepiej.

POLONISTA: Co tu dużo mówić, słaby element.

DYREKTORKA: Zaiste, tragiczna sytuacja. Ludzie mają pójść do szkół. Podjąć się wychowania dzieci, dać im wiedzę, nawyki, nauczyć je samodzielnego myślenia. Dla dziecka nauczyciel jest przecież tą wszechwiedzącą jednostką, a jakże mało one umieją! Przecież brak im właściwie nie tylko szerszej wiedzy, lecz nawet tej ograniczonej ramami programowymi. Nie przeczytały nawet czego się od nich wymaga... Ale co pomoże to biadolenie... Przejdźmy do ocen (do Polonisty). Co kolega jej daje z polskiego?

POLONISTA: (wzdycha ciężko): Co tam robić? Dostateczny.

HISTORYK: Słyszeli państwo, jak ona odpowiadała. Należy jej się niedostateczny, ale jej przecież nie zostawimy bez świadectwa dojrzałości, więc stawiam dostateczny.

DYREKTORKA: (bardzo zdenerwowana): No, wracamy do sprawy Pierzchowskiej.

PEDAGOG: Wydaje mi się, że sprawa jest jasna. W toku posiedzenia wyjaśniło się, że Stasia jest nie o wiele gorsza od Krysi, i jeśli tamta dostaje maturę, to i ona powinna dostać.

DYREKTORKA: Wyznaczcie, ale mam wrażenie, że koleżanka zbyt ciasno rozumie obowiązki wychowawcy klasowego. Czy ma sens taki sposób wybronięcia uczennicy? Przecież każdy z nas jest zainteresowany, by jak najwięcej było uczniów z maturą. Mnie jako dyrektorkę bardzo na tym zależy. Ale dać świadectwo dojrzałości to znaczy brać na siebie odpowiedzialność za przyszłego nauczyciela. A wiadomo, jak później inspektorzy będą nas pilnować za słabe przygotowanie nauczycieli, będą wytykać, że tak słaby element uznaliśmy za godny wychowywania i nauczania dzieci.

PEDAGOG: Niepotrzebnie się pani martwi. Pamiętajcie, jak słabo Marysia Dymek zdała w zeszłym roku maturę, a w szkole radzi sobie doskonale, jest uważana za dobrą nauczycielkę...

DYREKTORKA: Pracowitość, ambicja można wiele braków nadrobić, ale Pierzchowska właśnie nie jest ani pracowita ani ambitna. Jej sposób odpowiadania dobitnie o tym świadczy. Patrzy na nas kwaśno, jakby wszystko działało się poza obrębem jej zainteresowań.

PEDAGOG: Wydaje mi się trochę przynębiona. Ma jakieś komplikacje rodzinne, dojeżdża codziennie. Trzeba przyznać, że nie wszystko o naszych uczniach wiemy. Jestem przekonana, że to zawód miłośny przeszkodził Pierzchowskiej w nauce. To są dorosłe dziewczynki i trudno się połapać, kiedy i co zaczyna im dolegać. Mało możemy powiedzieć nawet o tych mieszkających pod bokiem, w internacie...

POLONISTA: W ten sposób dorzilibyśmy do kompletnego relatywnemu ocen. Względny — względami, przeżyca — przeżyciami, lecz dajemy stopnie chyba za wiedzę, a nie za komplikacje rodzinne czy też miłosne...

DYREKTORKA: Zboczyliśmy z tematu. Proszę powiedzieć, jakie oceny dajecie Pierzchowskiej.

PEDAGOG: Ja dostateczna.

POLONISTA: Za odpowiedź należy jej się dwójka, ale ma z piśmiennego czwórko, więc mógłbym jej wyprowadzić ocenę dostateczną.

DYREKTORKA: Co do pracy piśmiennnej, to wątpliwe, czy nie ściągnęła od kogós.

PEDAGOG: (wyzywająco): To proszę sprawdzić!

DYREKTORKA: (do siebie). Mogłabym skorzystać z votum separat, ale nie skorzystam... (zwraca się do Historyka). A kolega?

HISTORYK (namyśla się). Długa dręcząca pauza przerywa Pedagog: A może urządzić ją bez świadectwa w jakiejś szkole?

DYREKTORKA: W tym roku będzie to niemożliwe. W związku z nową siatką godzin przybędzie do szkół podstawowych wielu nauczycieli szkół licealnych o pełnych kwalifikacjach. (Do Historyka). A więc?

HISTORYK (z miną wiśsela, głosem nieomal płaczącym): Cóż, co robić? Niech będzie dostateczny.

DYREKTORKA: Wyznaczcie, ale nie będę w stanie ogłosić wyników egzaminów. Nie czuję się na siłach powinszować im ukończenia Liceum. (Do Polonisty). Może zechce kolega ogłosić wyniki egzaminów?

Wchodzi siódemka. Wszyscy ustawiają się w szeregu, tylko Pierzchowska stoi nieco z boku, bliżej wyjścia.

POLONISTA: Ponieważ Pani Dyrektor źle się czuje, pozwolę sobie w imieniu Państwowej Komisji Egzaminacyjnej zakomunikować wyniki dzisiejszych egzaminów.

Cała grupa dostaje maturę: (Poruszenie wśród dziewcząt: Środkowa, z podwiniętymi rękawami,

już robi krok naprzód, by palnąć mowę „obiecującą”, cofa się jednak, bo Polonista przemawia dalej).

Obrodziliśmy nad naszymi odpowiedziami ponad godzinę. Było to, muszę wam powiedzieć, dramatyczne posiedzenie. Same chyba zrozumieliście, dlaczego tak długo nie ogłaszaliśmy wyników. Pomyślcie: macie iść do szkół, nauczać dzieci, wychowywać je dla naszego Kraju, dla Ojczyzny. A tu kilka z was dało dowód jak mało odpowiedzialne z nich uczennice. Nie przeczytały „Potopu”! Przecież to jeden z najwybitniejszych utworów naszej ojczystej literatury. Wykazać tak daleko posuniętą ignorancję i nie umieć odpowiedzieć, kiedy żył nasz genialny astronom Kopernik, nie umieć określić wieku wydarzeń historycznych! Te i tym podobne gorszące fakty, jakie stwierdziliśmy podczas egzaminowania waszej grupy — to zjawisko bardzo smutne.

Toteż trudno nam było zdecydować, czy mamy prawo dać takim maturzystkom świadectwo dojrzałości i skierować je do szkół. Wierzę, wiele nas kosztował dzisiejszy wieczór i chociaż wszystko przemawiało za tym, by niektórym z was matury nie dać, postanowiliśmy mimo wszystko zaufać wam. Uważamy, że wasze sumienie, sumienie nauczyciela, powinno Wam dyktować nie odpoczynek, lecz wykorzystanie okresu letniego na nadrobienie braków, na przygotowanie się do odpowiedzialnego zawodu nauczyciela, wychowawcy młodego pokolenia.

W imieniu Komisji Egzaminacyjnej życzę Wam powodzenia w waszej samodzielnnej już pracy nauczycielskiej.

Wstępuje wreszcie dziewczyna z podwiniętymi rękawami i powiada:

W imieniu naszej grupy dziękuję Komisji i wszystkim naszym profesorom za ofiarną pracę, za serdeczność i troskę. Obiecujemy pracować nad sobą, by godnie reprezentować nasze Liceum Pedagogiczne.

Następuje chwila, która zazwyczaj bywa uroczysta i wzruszająca — pożegnanie. Wbrew przyjętemu ceremoniałowi, Dyrektorka nie wychodzi za stołu. Jak stała z opuszczoną głową podczas przemówienia Polonisty — tak stoi. Nie podchodzi też do dziewcząt nikt z profesorów z wyjątkiem profesorki pedagogiki, która jest wychowawczynią klasową.

Ta podchodzi do każdej z dziewcząt, ścisła dłoń i całuje w czoło. Pierzchowska i Stawienok są blade, na ich twarzach rysuje się cierpienie, a w oczach iskry się lży. Czy są to lzy radości, że się jednak udał? Czy pali je wstyd za kompromitujące odpowiedzi? Nie wiem. Wiem tylko, że gdy wyszły z sali egzaminacyjnej, Pierzchowska wbiegła do

(Dokończenie na str. 7)

ANDRZEJ WASILEWSKI

Filozofia duszyczki

Na podniebnych piętrach filozofii, tam, gdzie mieszkają jedynie Obdarzeni Najwyższą Świadomością Bytu — ziemskie sprawy nabierają oszłamatającej niezwykłości. Przeciwny np. obywatel, zamieszkujejący mało — filozoficzny parter, ma skłonność do takiego co najwyżej tonu myśli: — do diabła z tą biurokracją! to głównie przez nią — wielopostaciową i uszecherbioną — życie odczuwa się tak, że coś przeszkadza żyć. Gdyby to można schwytać za kark i od jednego zamachu wyrzucić to duszące, niematerialne cielsko...

Tak sobie gniewnie myśląc nie wie, naiwny, jak bardzo jest banalny i płytki. Zaraz też Obdarzone Najwyższą Świadomością Bytu Umysły wyjaśnia mu rzecz „dogłębnie”: że mianowicie to uwalenie nie od buntuje się przeciw biurokratycznej duszności, ale jego irracjonalna dusza przeciw „zbity racjonalnemu” systemowi społecznemu; że to nie jakaś konkretna bezduszność mu dopieka, ale „w ogóle” bezduszność logicznej organizacji życia. Bo: „wszystko jest zbit racjonalne zbit zorganizowane, zimne, okrutne. Tu nie ma miejsca dla jego prostej, ludzkiej duszyczki. Jeśli nie stoisz przy nas, jesteś nam niepotrzebny — mówią mu nieudolnie głosami racjonalne mechanizmy” (W. Maciej: Okrucieństwa racjonalizmu, „Życie Literackie” Nr 41 z 1955).

Jak to dobrze, obywatelu z parteru, że te słowa nie nie znaczą. Cóż byśmy poczęli z naszą rozumną nadzieją zbudowania dobrego domu, gdyby im odpowiadał jakiś — jak mówią filozofowie — obiektywny był. Jak to dobrze, że odpowiadają im tylko subiektywne stany duszyczek!

Ogroźnie je lubię, te duszyczki! Kiedy sprawy idą pomyślnie — one chętnie przyznają wszyściemu racjonalności i same roztopiają się w niej bez reszty. Ale kiedy ciężiej — wtedy w krzyk, że są z natury swej irracjonalne, absolutnie niedostosowane do tak prymitywnego porządku życia. Rozumiem, że się im zrobiło niespokojnie, ale po co być od razu takim, za przeproszeniem, duszyczką?

Godzi się dodać, że nie szuję z niepokoju — szuję z duszyczkowej

Kartki z dziennika

TYLKO EPIZOD

JERZY ANDRZEJEWSKI

O d kilku dni, prócz bieżącej prasy, nie czytam nic. Żadnej ochoty na jakąkolwiek książkę. Żadnej potrzeby literatury. Zamknięte dla niej i umysł i serce. Zamknięte? Być może nie jest to dokładnie określenie owego szczególnego stanu, kiedy pomiędzy pisarzem i literaturą istotnie zatrzaśniętą się gwałtownie jakieś ciężkie drzwi, lecz gdy ponad tamtą stroną, stroną słów, kładzie się objętą cień — tu, po stronie ludzkiej, wszystko się właśnie gniewnie przeciw słowom buntuje, wszystko je oskarża o bezsilność, o bezkrywą ułomność, o małość, o wagę garstki puchu wobec prawdziwych, porwujących i bolesnych ciężarów życia. Wszystko nie to, wszystko nie to!

O miłości i pracy, zdradach i pragmatyzmie, czystych porwach i ciemnych żądach, o nadziei, wierności, rozterkach, pysze, o przepaściach władzy, o krzywdzie ludzkiej, bohaterstwach i hańbach napisano miliony słów słusznie stanowiących chlubę i dumę ludzkości. Niejedno z tych słów niosących w sobie siłę gromu i blask błyskawicy opłacałi twórcy wyrzeczeniami wysokiej ceny. Słowa stawały się dynamitem rozsadzającym zmurszałe formy życia. Od słów zapalały się stopy rewolucji i padały trony. Słowa wyrwały ze snu, uderzały w sumienia, miały i mają się oręza. A przecież, przecież — nie roniąc niczego z piękna owej świetlanej żrenicy, jaką jest dla ludzkości literatura — myślę, że w różnych okresach życia każdy twórca przeżywa po swjemu niedosyt słowa, nie utratę wiary w sens i działanie słowa, lecz właśnie niedosyt, tak to tylko można określić. Myśli się wówczas: nikomu, nawet tym największym, nie udało się zamknąć w kształt piękna niepowtarzalnych treści jednej nocy niepokoju i tęsknoty, blasków i cieni miłości, godzin osamotnienia i strachu, chwil zwątpień i nadziei. Wszystko, co napisano o cierpieniu człowieka, jest w istocie jedynie cieniem pełnej prawdy cierpienia. I to, co powiedziano o miłości i nienawiści, również wydaje się tylko błędym odbiciem spraw przeżywanych i doświadczonych przez człowieka w czasie. Właśnie w czasie! Wydaje mi się bowiem niekiedy, że jeśli wobec ludzkich czynów i przeżyć twórca musi ponieść pewien procent nieuniknionej klęski, jeśli nie może utrwalić w pełnym zakresie i napięciu całych niezmierzonych obszarów ludzkich radości i męczarni, to dlatego przede wszystkim, że nie posiadamy żadnych dostępnych nam środków utrwalenia czasu. Iże prze-

żył godzinę strachu, komu dręczące troski spędzały sen z powiek, komu cierpienie wzięwało w jeden supeł wszystkie myśli i uczucia, kto borykał się z przeciwnościami losu i stał w chwilami w tej walce, jak przed głuchym murem... miły Boże, po cóż szukać tak wielu przykładów? czyż nie wystarczy powiedzieć, że każdy, kto doświadczał cokolwiek dobrego lub złego, ten zdaje sobie sprawę, że czas naszych przeżyć jest niepozwartalny? Nie podobna go ani zachować we właściwych mu proporcjach, ani tym bardziej nie stać nas na utrwalenie tego wszystkiego, co się w nim według jego praw rozgrywało.

Jeszcze dzisiaj, jakkolwiek od tych zdarzeń minęło lat przeszło dziesięć, powraca do mnie niekiedy w półśnie obraz ludzi stojących pod murem domu, ludzi z dziwnie zbiełalymi twarzami, ponieważ usta mieli zagipsowane. Wiele z tego obrazu mogę jako pisarz utrwalić. Mogę więc przechować hańbę faszyzowskich zbrodni, walkę narodu o wolność, pejzaż wczesnego ranka październikowego, ciszę ulicy, suchy trzask wystrzałów, lot spłoszonych z pobliskiego domu gołębi; mogę tamtą odległą chwilę wypełnić uczuciami gniewu i bólu, mogę nawet owych ludzi padających pod ulecznym murem obdarzyć losami odsłaniającymi zawiłe procesy życia społecznego i indywidualnego. Lecz jednego nie mogę: nie mogę przy pomocy słów stworzyć kształtu artystycznego wymiennego dla tych przeżyć, których ci ludzie w swoim ostatecznym czasie doświadczyli. Tu, wobec tej najbardziej ludzkiej sprawy, staję bezradny, jakbym miał ręce ucięte, jakbym miał usta zakneblowane.

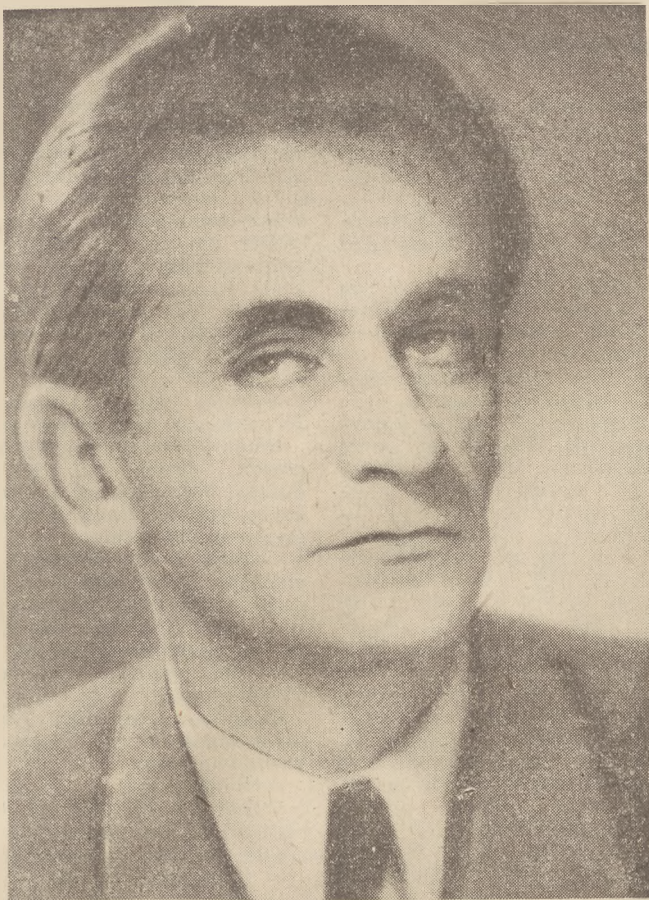
Spotkawszy któregoś wieczora na ulicy N-skiego zacząłem z nim mówić o tych właśnie sprawach, o owym niedosycie słowa ogarniającym nieraz pisarza. N-ski jest publicystą, a poza tym można o nim powiedzieć, iż tak dokładnie pasuje do każdej sytuacji, jak znaczek pocztowy do koperty. Gdyby mnie zaś spytano, pod jaki adres koperty N-skiego są kierowane — musiałbym odpowiedzieć: zawsze wyżej! Nie wiem doprawdy, co mnie pokusiło, aby rozmawiać z N-skim na podobny temat. Ale też natychmiast zostałem słusznie ukarany. W pewnym momencie N-ski przerwał mi i spytał: „Słuchajcie, czy doprawdy nie macie większych zmartwień?” I po paru nieważnych, całkiem zdawkowych zwrotach pożegnał się ze mną i poszedł w kierunku całkiem przeciwnym do mojego.

Jerzy Andrzejewski

SPRAWY NIEOBOJĘTNE

WITOLD WIRPSZA

C I E Ż A R



Depcząc, rozrywając, ćwiartując
Jego liche serce,
Jego ludzkie — mimo wszystko — serce.

Na pozór wiersz ten niewiele ma wspólnego z moimi rozmyślaniami. Ale tylko na pozór. Mówi o współczesności, a nie o „komunistycznym daleku” — to prawda. Na tych dwóch nieregularnych i poszarpanych strofach spoczywa jednak gniotący je gorzki ciężar, który każe mi myśleć o wyrzutach sumienia człowieka przyszłości.

5.
Nic lekkiego, nic lekkiego!
Z wiersza „Ifigenia”:

Siuchaj, co mówią do nas starzy, mądrzy Grecy.
Znali człowieka. Czyścił w swej tragicznej pieśni
Wymowiali mu serce z męskiej lub kobiecej
Drgającej piersi.

I z wiersza „Szczęście”:

I nie zna prawdy ten, co nie wie,
Ze cień jest słońca sumieniem.

Znów mamy strofy ocieźlałe, trudno płynące, niosące ze sobą żwir i kamienie dźwięków. Jastrun nie mówi: wyrwali serce; mówi: wymowiali — a więc czynili to wolno, bez pospłechu i z rozwagą, ważąc ciężar serca na dłoni, czując jego spracowany mięsień. W ten sposób poznawali prawdę — starzy mądrzy Grecy. Starzy, mądrzy — a więc mimo tragicznych łagodni i współczujący, bo znali człowieka.

A szukanie plam na słońcu? Tak, po stokroć należy to czynić! „Nieśkończona jeszcze dziejów praca. Nieprzepracowany jeszcze glob sumienia”. W ciepłym, ludzkim słowie „sumienie”, w starych, mądrych Grekach, w tych sześciu liniach, czterech z jednego i dwóch z drugiego wiersza brak przecież cierpkości, którą wyczuwało się w poprzednich cytatach. Pojawia się natomiast niejaka tęsknota jak ciężkie westchnienie.

To nie jest westchnienie Goethego z „Nocnej pieśni wędrowca”, ponieważ to nie jest tęsknota za uspokojeniem,

Dokąd ta tęsknota prowadzi?

Usnąłem w skwar pod drzewem,
Skłębionym od owoców.
Zbudziłem się pod drzewem
W gwiaździstym środku nocy
Widziałem we śnie kraj
W ziemi i wód żywiole,
Widziałem we śnie kraj,
O którym milczeć wolę.

Czy ciężkie, kamienne milczenie jest owym kresem, do którego prowadzi poetę jego tęsknota? Czy naprawdę należy czytelnikowi jak Dante'mu zasłonić wzrok płaszczem? Czyż w każdym śnie, jak w śnie na śniegu w „Czarodziejskiej Górze” wędrowiec musi zajrzeć do straszliwej świątyni, w której dwie staruchy spełniały swe okropne czynności? Czy tu jest kres każdego mitu arkadyjskiego? Kompozycja tomu nie uprawnia mnie do stawiania tego rodzaju pytań: wiersz „Sen” został umieszczony bliżej początku, a więc intencja autora była na pewno odmienna. Upoważnia mnie do tego inna okoliczność: sam ciężar gatunkowy poezji, zamkniętej w tych ośmiu liniach. Ten ciężar rozłamuje wszelką kompozycję, wszelki zamierzony układ.

Wolałbym, aby ten wiersz był słabszy. Wolałbym — a mimo to często będę wracał do tego wiersza.

7.

Przypuszczam, że inni czytelnicy będą również wracali do tego wiersza. Być może, będą sobie stawiali te same pytania. Rzecz w tym, że reakcja bywa w takich wypadkach nieoczekiwana; już samo zadawanie pytań zdaje się świadczyć o tym. Bunt przeciw milczeniu, chęć doświadczenia w takim trudnym zainicjowanej pieśni arkadyjskiej do końca — oto co z tego może się zrodzić.

Jastrun włożył na barki swoich czytelników wielki ciężar. Jeśli będą się umieli od niego uwolnić, humanistyczne zadanie tej poezji będzie spełnione. Bowiem również i w ten sposób wyraża się nadzieja poety.

Witold Wirpsza

Mieczysław Jastrun: Poezja i prawda. Czytelnik 1955.

JANINA LUDAWSKA

OSTRY DYŻUR



Państwowy Teatr Narodowy w Warszawie. Jerzy Lutowski: Ostry dyżur. Sztuka w 3 aktach. Reżyseria: Erwin Axer. Scenografia: Romuald Nowicki.

Głównym w Teatrze Narodowym „Ostry dyżur” Jerzego Lutowskiego wywołuje wśród publiczności reakcje bardzo różne, ale w żadnym wypadku nie pozostawia widza obojętnym. Nic dziwnego: porusza sprawy bardzo istotne dla naszego życia. Co więcej — sprawy bolesne i trudne.

Lutowski pokazuje dramat lekarza, któremu jego najbliższe otoczenie odmówiło zaufania. Pewna najoogólniej wyrażona teza Lutowskiego to wołanie o wiarę w człowieka. Jest to przecież jedna z podstawowych zasad naszego ustroju, a w zwykłych, codziennych ludzkich sprawach jakże często ulega pogwałceniu.

Za poruszenie tego tematu — Lutowskiemu całe uznanie.

O propozycje jego rozstrzygnięcia — ostry spór.

Przebywający na nadziei w mieście powiatowym wybitny działacz partyjny, członek kierownictwa, dostaje nagle silnego zapalenia wyrostka. Natychmiastowa operacja konieczna. Szef Urzędu Bezpieczeństwa Wielgosz nie godzi się na powierzenie tej chirurgowi doktorowi Osiniemu, doświadczenia życiowe. Osini prędko w miejscowym szpitalu po odbyciu dwuletniej kariery więzienia za kontakty z bandami w latach 1945—1947. Wielgosz obawia się, że Osini może dożyć w pacjencie nie tylko chorego, ale i politycznego wroga, że może „zadrzeć mu ręką”. Sekretarz komitetu powiatowego Dąbek jest przeciwny tej decyzji, gdyż wierzy w uczciwość doktora Osinskiego, ufa mu. Dąbek nie potrafi jednak postawić na swoim. Do pobliskiego miasteczka wysłane zostaje auto po tamtejszego chirurga. Zamiast śnieżną opóźnia jego przybycie. Telefonicznego połączenia nie ma. Gdy dowiaduje się o tym Osinski, bez wahania przystępuje do operacji.

Tak pokrótce przedstawia się fabuła „Ostrego dyżuru”.

Doktor Osinski jest ofiarą bierności i małoduszności, tepoty i asekurantstwa, tchórzostwa i fałszu. Jest ofiarą tych cech ludzkich i takiego postępowania, które — jakkolwiek zdarza się w partii — jest z gruntu sprzeczne z pojęciem partyjności i z całokształtem partyjnej praktyki, godzi w samą istotę naszego ustroju i hamuje jego rozwój. Osinski jest ofiarą zła, którego sprawcy bez względu na ich subiektywne zamiary, obiektywne działania na szkodę ustroju, na szkodę partii. Pierwszym sojusznikiem

klam i obrońcą Osinskiego jest wlec właśnie i partia i ustrój. Taki wniosek, jak mi się wydaje, istotny dla danego zagadnienia, ze sztuki nie wynika. Dzieje się nawet odwrotnie. Osinski uogólnia swoje bolesne o sobiste doświadczenia życiowe. Rzucając oskarżenia mówi on: „Świat przez was stworzony”, „Wasza sprawiedliwość”, „Jedno mówicie — robicie co innego”. Nie można mieć do niego o to żalu. Odpychano go zewsząd, teraz oceniają go w sposób krzywdzący, dlatego generalizuje w chwili wzburzenia swoje doznania. Ale jego zarzuty nie znajdują żadnego odporu. Wręcz przeciwnie: sztuka jako całość potwierdza to generalizowanie. Osinski otrzymuje cios za ciosem, od ludzi, którzy sprawują władzę, od ludzi, którzy na tym terenie reprezentują sobą partię. Doprowadzili go oni do takiego stanu, że po raz pierwszy w życiu odmówił pomocy choremu. I jeśli pod koniec sztuki dokonuje jednak operacji, dzieje się to dzięki przypadkowi i wbrew partii, gdyż Wielgosz i Dąbek ukryli przed nim, że z lekarzem z sąsiedniego miasta nie utrzymali telefonicznego połączenia.

Analizując Dąbkę z Wielgoszem, w której pada wiele zdań słusznych, ani rozmowy sekretarza z doktorem nie można uznać za

kontrargument w stosunku do oskarżeń rzuconych przez doktora Osinskiego. Nie tylko dlatego, że są one dużo bliższe i uboższe intelektualnie, niż to co mówi Osinski. W „Ostrem dyżurze” rdzeniem i najważniejszym argumentem jest sama akcja, a nie toczona dyskusja. Akcja zaś potwierdza zarzuty Osinskiego. Sztuka Lutowskiego angażuje widza czy czytelnika emocjonalnie. Udało mu się stworzyć postacie żywe, wobec których trudno pozostać obojętnym. I tu znów cała sympatia skupia się na osobie Osinskiego. I to także jest bardzo poważnym argumentem, gdyż wraz z sympatią także zaufanie widza oddane zostaje doktorowi i wygłaszanym przez niego sądom.

Nie walczę tu o degradację osoby Osinskiego, wydaje mi się tylko, że powinien on mieć wśród członków partii godnego partnera. Dąbek mimo to, że rozumuje słusznie, nie jest nim.

Troje ludzi zna doktora z jego pracy i mogłoby twardo stanąć w jego obronie: doktor Machewicz, dyrektor Brosz i sekretarz komitetu powiatowego — Dąbek.

Doktor Machewicz jest człowiekiem nieszczerliwym, dla którego jedynym miernikiem konfliktów moralnych jest sprawa śmierci jego syna, który zginął w starciu z leś-

na bandą już po wojnie. Żyje on tylko przeszłością i dowiedziawszy się o szczegółach biografii Osinskiego, jest nim tak wstrząśnięty, że w pierwszej chwili przekreśla swoją dla niego przyjaźń i zarzuca mu oszustwo. Doktor Machewicz istnieje w sztuce przede wszystkim po to, aby osaczyć Osinskiego i jego samotność były pełniejsze.

Dyrektor Brosz jest szują i łajdakem — myślącym w całej sprawie tylko o własnym stolku. Zdarzają się tacy posiadacze legitymacji partyjnej. Trzeba ich demaskować, tępić ślad po nich ogniem wypalać. Pozostaje więc Dąbek i od niego oczekujemy zdecydowanej ingerencji. Zna on przecież i przeszłość i teraźniejszość doktora Osinskiego. Mówi o swoim zaufaniu do niego. Ale nie. Dąbek działaniem się nie pami. Wygłasza tyrady, prawi kazania — tylko nie działa, to jest nie podejmuje decyzji i nie walczy o jej przeformowanie. Jego rozmowa z Wielgoszem jest raczej „wylewaniem swych myśli”, aniżeli dyskusją — walką.

W moim pojęciu Dąbek nie jest po prostu jeszcze jedną słabą postacią sekretarza partii. Dąbek w ogóle nie jest komunistą. Może to ja-

(Dokończenie na str. 6)

1.

Sporo, 120-stronicowy tom o przyciężkim tytule: „Poezja i prawda”. Jest to również tytuł wiersza, otwierającego zbiór. W wierszu tym znajduje się następująca zwrotka:

Z naszych uczynków, słów, uchybień,
Przyszłość spisuje już protokół.
Ani to deszczu tekst na szybie,
Ani to cieniu od obłoków.

Znowu, jak w tytule, podkreślenie ciężaru — nie lekkiego, nie lekkiego! Nawet wówczas, kiedy zdawałoby się sam temat nakłania do lekkości, do uderzenia w struny „brzękiem komara” — nawet wówczas poeta każe nieść strofie ciężar; z wiersza o dziecku („Prośba”):

Czym są nasze codzienne dzieje?
Wiarołomna dni naszych waga.
Szczerość dzieciak, czy gdy płacze,
czy się śmieje,
Jest jak jabłko słodka i naga.

Czy ten ciężar leży na linijsce „Wiarołomna dni naszych waga”? A właśnie, że nie. Ta linijska jest wypowiedziana prościutko, nawet dźwiękowa jej warstwa jest przejaśniona i jedynie warstwa znaczeniowa jest cierpka. Ciężar złożył poeta gdzie indziej, na zasadzie kontrastu tam, gdzie mówi nie o dorosłości, lecz o dzieciństwie: następna linijska uginą się pod brzemieniem. Wyduża dziewczęciznę, więc o dwie sylaby, gromadzi syzygające spółgłoski, wyrzuca średniówkę, rezygnuje z melodyki — nie lekkiego, nie lekkiego!

Ostatni wiersz, tomu mówi o nadziei, ale jednocześnie daje obraz bolesnych narodzin arkadyjskiej wizji. Oto pierwsza zwrotka:

Zasieją ziarno w ziemię czarną
I pochowają w niej niebiosy,
Aż glebę żyzną i cmentarną
Rozepchną żądla słońca — kłosa.

To nie jest pesymizm. Gdyby w podobnym nastroju kompozytor zabral się do układania muzyki, uczyniłby z pewnością tak: temat, który w dalszych taktach dzieła rozbrzmiewać będzie w jasnym majorze i w górnych rejestrach, podany zostaje na początku w basie i ciemnym minorze,

2.

Jastrun pisze o naszej współczesności, o jej moralnym kształcie. Stąd właśnie ów ciężar minorowej tonacji.

W 40-tym numerze „Przeglądu Kulturalnego” ukazał się artykuł Aliny Osiadacz-Mulskiej pt. „O moralności i dyktaturze proletariatu”. Jest tam taki fragment (Molska polemizuje z pewnym artykułem Krzysztofa Wolińskiego):

„Czy przysm, „sam w sobie” jest moralnie zły czy dobry? — Czy kłamstwo „samo w sobie” jest zło czy dobre? Czy zabójstwo jest „samo w sobie” zło czy dobre?”

Któż uznając dyalektykę zgodzi się dać odpowiedź na tak postawione pytanie? Przecież bywa kłamstwo, które jest tchórzostwem, i bywa kłamstwo, które jest bohaterstwem... Bywa zabójstwo, które jest winą, i bywa zabójstwo, które jest zasługą...”

Cóż, dla mnie te sprawy przedstawiają się zawsze inaczej. Istnieje mówienie nieprawdy, które może być moralnie czyste — ale wyraz „kłamstwo” oznacza zawsze brud. Istnieje zabójstwo, które może być zasługą (niestety, wciąż jeszcze zmuszeni jesteśmy do takiego wartościowania!), ale istnieje i morderstwo — i krócej jeszcze: mord. Już w samym języku powstało wartościowanie moralne i ono coś tam oznacza. Kłamstwo i tchórzostwo — obłuda i najgorsze ze wszystkiego: zakłamywanie siebie samych — to jednak jest zło „samo w sobie”,

Nie można być obłudnym w całym zamiarze. Ale — i to sobie trzeba wyraźnie powiedzieć — są to kategorie moralne, które wiążą się z psychologią, z oceną charakteru jednostek i zbiorowości. I są wyrazy, które w sobie tę ocenę zawierają. O jednoznaczność pewnych słów ludzkość walczy po dzień dzisiejszy.

Żyjemy w epoce, która musi z natury rzeczy tworzyć nowe wartości moralne. Ale żyjemy również w epoce pełnej tragicznych nieporozumień. Stąd, zdaniem moim, ciężar leżący na strofach Mieczysława Jastruna.

3.

Nieporozumienia!

Wiele nieporozumień powstaje stąd, że istnieją niespełnione nadzieje. A bywa jeszcze zazwyczaj tak, że ludzie o dużej wyobraźni mówią wielkie nadzieje. I coś z tego, że który polityk powie, iż nadzieje poetów to z reguły utopie i że on ich spełnić nie może, ba, nie powinien? Czyż to znaczy, że mit arkadyjski jest złym, nie-realnym, deprawującym mitem? Ze oprócz złudzeń i rozczarowań nie ludziom dać nie jest w stanie? Ani ich wychować, ani pocieszyć? Ani sił dodać?

A mnie się wydaje, że są rozczarowania, które dodają sił. Są wizje nierealne, które wciąż uparcie nawiedzają umysł ludzki po to, aby człowiek po bolesnym rozczarowaniu urzeczywistniał tę swoją wizję w sposób niedoskonały wprawdzie, ale w zasadniczej zgodzie ze swoją tęsknotą.

To myślę, czytając zakończenie wiersza „Z pamiętnika byłego więźnia obozów koncentracyjnych”:

Oto nadeszła pora dojrzalszych owoców,
Poezja spełniających się w życiu
przenosił
W przedjesiennego cudu godzinie.
Oto jest świat, o którym marzyłem
w ciemności,
W którego słońcu ginę.

Niezgodność pomiędzy marzeniem a jego praktyczną realizacją jest u poety szczególnie silna. Ale bez tego nie byłoby chyba poezji. Ani jej wychowawczego oddziaływania.

4.

Jest jeszcze jeden problem, który się w tym miejscu nasuwa.

Pisałem kiedyś, że fałszywe jest stanowisko niektórych, co mniemają, iż budując socjalizm, zbudujemy raj na ziemi. Nie — oczywiście zbudujemy społeczeństwo ludzkie, w którym będzie i ból, i radość, i cierpienie, i pocieszenie. Tak samo nie sądzę, aby przez fakt zbudowania komunizmu ludzie stali się aniołami (żądnych zadatków chyba na to nie mają). Sądzę natomiast, że wychowanie ludzi da pewne rezultaty, których pierwszym jest: zwiększona wrażliwość etyczna.

Nie przypuszczam, aby zaistniał kiedykolwiek taki czas, kiedy ludzie nie będą popełniali złych uczynków. Wierzę natomiast, że w komunizmie człowiek, który w jakikolwiek sposób drugiego człowieka skrzywdził, będzie odczuwał wyrzuty sumienia w większym stopniu, niż dzisiaj. Będzie to dla niego bardziej bolesne.

To myślę, czytając wiersz „Człowiek”:

Widziałem człowieka,
Mordowanego przez aniołów,
Torturowanego pytaniami,
Obrzniętego od zduszonego krzyku,
Zwygo trupa,
Oziarę moralności.

I nie mogłem mu pomóc,
Gdyż zasługiwał już tylko na litość,
wygnaną.

I musiałem go doć.
Wrzucić do aniołami

W d o w a p o J o

(Dokończenie ze str. 1)

Zapraszano ją na wieczornice, Lubożanie tańczyli, aż się w gosporcie podłoga ugięła. Ona siedziała na ławie pod ścianą, w otoczeniu matek i teściowych. Nikomu w głowie nie powstało, żeby Joczysowa zaprosić do tańca. Tylko fryzjer Pietrak, dawny kapral, a teraz po prostu pijaczysko, przystąpił do niej kiedyś:

— Kapitanowa, co? Poskakająby sobie pani, co? Żeby tylko miał lepszy fiak!

— Ta idź ty! — ofuknęły go kobiety. — Widzieliście batiara! Będzie ci kapitanowa z takim łajdusem tańczyć...

Joczysowa wodziła roztrzęsionymi oczyma za tłumem tańczących. Grzmiał mazur, huczny, zawrotny, holubowy. Słychać było bezładne tupanie, przyspieszone oddechy, salwy śmiechu. Powietrze gęstniało od wódki, potu i roztańczonych barw.

— Baby! — wołał do tych pod ścianą pijany fryzjer Pietrak.

— A opowiedzieć wam wica? Ale takiego tłustego, że od razu każda porodzi!

— Poszedł precz! — przeganił go. Dodawały z oburzeniem: — Ty przy pani kapitanowej się hamuj. Z każdym słowem trza wiedzieć, gdzie się odezwać.

— Wica!... Tłustego!... — wykrzykiwał Pietrak odchodząc w tłum tańczących. — Tluuu...

— Zniknął. Tupotano nadal. Joczysowa opuściła głowę. Ktoś szepnął:

— Nieboszczyk jej się przypomniał.

Nie miała bliskich przyjaciół. Nikt nie osmiesił się z nią spoufalić. Przypatrywano jej się, ale z daleka. Ktoś kiedyś opowiedział, że widział ją jak stała w oknie i nucąc coś rozczesywała swoje długie, jasne włosy. Nie chciało wierzyć. Nuciła? A co? Wesole jakieś czy takie do placu? Nie — odpowiadał tamten. — Niech mnie krew!... Takie coś: tara-tarara...

W niedzielę spacerowała samotnie po lesie. Widziano ją raz na porośniętym wrzosem wzgórzu. Gdy znalazła się na jego szczycie, wyprostowała w górę ramiona. Potem odrzuciła je w bok. Potem przed siebie. Potem znów w dół. Gimnastykowała się. Zrobiła kilka podskoków, następnie koziołka i suknią fałtującą jej przez głowę. Roześmiała się na głos. Zstępowała ze wzgórza usmiechnięta, z pękiem wrzósów w reku. Nagle przystanąła. Przez chwilę nastuchiwała i uśmiech znikł z jej twarzy. Znów była skupiona, czujna. Z gniewem rzuciła pęk wrzósów na ziemię. Z opuszczoną głową szła powoli do domu.

Mijały lata. Wiosną zakwitły magnolie. W akademiach 1-majowych Joczysowa zasiadała w prezydium. W lipcu udawała się do publicznej spółdzielni produkcyjnej pomagać w zniwach. 22 lipca — święto, znów akademie. 1 września uczestniczyła w otwarciu roku szkolnego. Chór dziecięcy śpiewał pieśń o kapitanie Joczysie. Drzewa żółkły. Wzgórze pokrywało się rdzawym wrzosem. Dał chłodny wiatr. Chwały się nagie drzewa. W listopadzie — znów akademie. „Pamięć o panu kapitanie nigdy nas nie opuści!”... Zimą chłopcy przyćmawiali do Luborza na rozdzwonionych sankach. Dzieci hasały na nartach. Na pocztę trzaskał ogień w purpurowym piecyku. Otwierały się drzwi — buchała przez nie para. Beznogi Windak pił. „Pani kapitanowo — melduję, ku chwale ojczyzny, rrra!” Na zabawach sylwestrowych Joczysowa siedziała pod ścianą z matronami. Grano mazura, fryzjer Pietrak się

wygłupiał. Potem znów włosna, słońce polyskiwało, drogi parowały. Magnolie, magnolie...

Do Luborza przyjechał nowy człowiek: zootechnik Tadeusz Więcek. Rodem był z Karczewa, miał lat około 25, czarnawy, niewysoki, szczupły, sprytny. Zdażył już wy-

szkoły rolniczej, wydział hodowlany, ukończył ją i przyjechał na praktykę do Luborza. Podobało mu się tu: ładny rynek, magnolie, renesansowy kościółek, otoczony wysmukłymi topolami, wieża głodowa z XIV wieku, fragment starych murów obronnych. Wybrał się na

Próbował nawlazać rozmowę:

— Prędko list dojdzie?

— Jak zwykle.

— To znaczy?

— Jak Bozia da — powiedziała z uśmiechem.

Jej głos też mu się spodobał,



Rys. Danuta Konwicka

próbować wiele zawodów. Tuż po wojnie był burmistrzem w małym miasteczku koło Zielonej Góry. Siedział potem pół roku w więzieniu. Następnie pracował w urzędzie repatriacyjnym, śpiewał w chórze, był kasjerem w kinie, konduktorem w PKS-ie. Wreszcie znudziło mu się to wszystko, postanowił się czegoś nauczyć. Zapisał się do dwuletniej

pocztę, by nadać list polecony do rodziny: zostaje tu, owszem.

Ta pani na pocztę zwróciła jego uwagę. Właściwie jej podbródek: nieregularny, z lekką wystającą, ale tak łagodnie, że przez cały czas, gdy na nią patrzył, chciało mu się go pogłaskać. Wydawało mu się, że kobieta nie spuszcza z niego wzroku. Choroba, skąd tu takie baby?

— A pani nie mogłaby się postarać, żeby Bozia chciała prędzej? — zagadnął kokieteryjnie.

Przez chwilę nie mogła go zrozumieć. To był chyba żart, tak? Nikt nigdy z nią nie żartował. Odpowiedziała:

— Ode mnie to nie zależy.

Szorstka — pomyślał. — Do łuf-tu.

Skierował się ku wyjściu. Nagle

usłyszał jej głos:

— Pan nietulejszy?

Zatrzymał się.

— Nie. Z Warszawy.

— O! — wykrzyknęła zdumiona. Potem zapytała: — Dawno pan tutaj?

Odpowiedział. Mówił jeszcze o tym i owym. Obiecał przyjść popatrzeć na jej krowy, które, jak twierdziła, niedomagały.

— Mnie nie tylko krowy interesują — zauważył zaczepnie.

Roześmiała się. „Fajna” — pomyślał zootechnik. Ale w tej samej chwili skrzyknęły drzwi i kobieta natychmiast urwała śmiech. „Nerwowa” — stwierdził zootechnik. — „Z taką lepiej się nie zadawać”.

Ale w niedzielę, po nabożeństwie wybrał się do niej. Ubrany był trochę inaczej niż ci wszyscy tutaj: miał na sobie granatową angielską wiatrówkę, spodnie nieco podniszczone, ale z dobrego materiału. Warszawianin, to się czuło. Ujrzawszy go Joczysowa nie potrafiła ukryć radosnego wzburzenia. Częstowała go najpierw herbatą i konfiturami, potem namówiła, by został na obiad. Podawał barszcz ukraiński, pieczeń wołową, pyzy, jabłecznik, makowiec. Pan Tadeusz jadał z apetytem, chwalił, namawiał panią Małgorzatę do picia, opowiadał anegdotki o różnych warszawskich dygnitarzach, a stara pani, matka Joczysowej, drżącym głosem przypominała o zdolnościach kulinarnych córki:

— To ona... ona sama...

O krowach nie było mowy.

Zootechnik Tadeusz Więcek szedł do domu podniecony alkoholem i własnym szczęściem. „To ci kobietka! — rozmyślał. — I do łóżka, i do gospodarstwa. Trochę mrukił. Ale, mój Boże, w życiu mi tak dobrze nie było jak u niej. Jabłecznik w dechę, wołowina trochę przytwardza. Nnnic”.

Nagle przystanął zaskoczony pewną myślą:

„Joczysowa jej jest, nie? Joczysowa! Przecież ta ulica właśnie tak się nazywa: Joczysa. Co, u diabła?”

W domu zagadnął o to swoją gospodynię. Opowiedziała mu wszystko o Joczysie i Joczysowej.

— A za mąż jej nie swatacie? — spytał lokator.

— Jak tak za mąż? Jej pierwszy był bohater! Za kogo jej teraz iść?

— Za kogo, za kogo... — powtarzał z rozdrażnieniem. — Za mężczyznę! A choćby za mnie.

Gospodyni spojrzała na niego surowo:

— Joczysowa za nikogo nie pójdzie. Po takim bohaterze nie weźmie pierwszego lepszego. Jużby wstydu nie miała. A to święta kobieta, panie!

„Jak święta, to niech sobie siedzi na ztydu!” — pomyślał ze złością zootechnik. I zdecydował: — „Jabłecznik był kwaśny”.

Całą noc myślał o niej. Całował jej wystający podbródek, a ona, z przymkniętymi oczyma i odrzuconą w tył głową, pokorniała mu rozkosznie w ramionach. Obudził się wściekły, że tego nie będzie.

— „Dlaczego ma nie być? — buntował się idąc do pracy. — Będzie!”

Dzień był upalny, zootechnikowi

pracowało się leniwie i niechętnie. Wróciwszy do domu wymyślił się zimną studzienną wodą i pobiegł do niej. Przywitała go radosnym uśmiechem. Zaproponował jej spacer. Przez chwilę się namyślała, potem kazala mu czekać. Długo oglądała swoje suknie. Z westchnieniem wybrała wreszcie jakąś w groszki.

Kiedy przechodzili przez rynek, kilka osób odwróciło się za nimi, jakaś starucha zajrzała jej bawdawczo w oczy. Usłyszeli czyjś przerażony szepot: „Ludzie, co to? Joczysowa z kawalerem”...

Udał się na to jej wzgórze. Szli powoli. Dzień był bezwietrzny, duszny, oddychało się z trudem. Pokryte kurzem trawy i krzewy zastęły w bezruchu.

— Pięknie tu, prawda? — powiedziała Joczysowa i spojrzała na swego towarzysza oczyma, w których było tyle naiwnego zachwytu, że mężczyzna się zmieszał.

— Tak, pięknie — zgodził się. — Tylko gorąco.

Objął ręką jej talę. Ale Joczysowa łagodnie się usunęła. Uspokoiła się:

— Gorąco.

Wydawało się jej, że ktoś ich podpatruje. Ścisnęła kurczowo mężczyznę za rękę i poprosiła:

— Chodźmy stąd, chodźmy.

Wyszli na szosę. Spacerowali wśród szpaleru pachnących lip, obok białych słupków wytyczających zakręty. Spotykali inne pary i wszystkie one oglądały się za nimi — ze zdziwieniem i rozczarowaniem. Usłyszeli klekot brykli. Mięła ich i zatrzymała się o kilka nacięć kroków dalej. Wyskoczył z niej potężny mężczyzna, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, dawny żołnierz Joczysa. Stał w poprzek szosy, nogi rozkraczyl, ręce oparł na biodrach — i patrzył. Nic nie powiedział, mruknął coś tylko i wskoczył na powrót do bryczki. Świsnął gniewnie batem.

Bryka zakleotała i oddaliła się, Joczysowa zdecydowała:

— Musimy kończyć spacer. Niech pan sobie pojdzie. Proszę! — dodała błagalnie.

„A więc to prawda” — pomyślał mężczyzna.

— Jedno słowo — rzekł.

— Słucham.

— Pani... bardzo kochała swego męża?

Joczysowa skinęła kilkakrotnie głową.

— Tak. Tak. Bardzo.

— I nie myśli pani wyjść drugi raz za mąż?

Kobieta zmieszała się. Myśli jej rozbiegły się, na policzki wystąpił rumieniec.

— Za mąż... nie. — Obejrzała się jakby szukając czyjejś pomocy. — Nie myślę. Nie mogę.

Przez chwilę stała z opuszczoną głową.

— Nie — powtórzyła.

I znów:

— Nie, nie. — Kiedy zobaczyła, że on odchodził, powiedziała: — Ale... Przystanął.

— Co?

— Nic, nie. Niech pan już idzie.

Poszedł. „Dziura — przekletał — myślał że złością. — Pospacerować z kobietą nie można”.

Na rynku podszedł do niego jakiś siwowłosy mężczyzna w sta-

Rzecz o narodzinach świadomości

(Dokończenie ze str. 1)

III

kl Myśle o wielkich dialogach drugiego aktu: Joanna — Sulma i Joanna — Pzonka. Punktem wyjścia obu rozmów jest nieporozumienie wynikłe z zastosowania wobec Joanny północnego schematu. „Pani myśli: a może? a może ono się jeszcze wróci — tamto wszystko? No bo jakże tacy jak pani — jakże by inaczej?” (podkreślenie moje A. W.). Fałszywe mniemanie o Joannie prowokuje Sulmę do wspaniałego wybuchu, który w byłym lokaju odświeżenia dojrzała świadomość proletariusza. A rozmowa z Pzonką przeprowadzona wedle psychologicznych zasad dialektyki sporu? Pzonkę też fałszywe mniemanie o Joannie skłania do wynurzeń, lecz on widzi w niej naturalnego sprzymierzeńca. I właśnie ten podstępny intrzygant, nie Sulma, wydobywa z Joanny wyznania: „...za to, żeśmy ja mogła wrócić do tego domu. Świat musiałby zapłacić zbył wysoką cenę. Świat, my wszyscy, nasz kraj, ludzie! Nie warto, rozumie pan — nie warto! To bardzo trudny, oporny rachunek ale to każdy musi sam w sobie obliczyć — dla siebie! U mnie wypadło, że nie warto!”

Dopiero zetknięcie z wrogiem uświadomiło Joannie jej rzeczywisty stosunek do przeszłości i dopiero wobec wroga decyduje się na bilans. Jest w tym więcej niż psychologiczna prawda. To odkrycie dialektycznej natury procesu dochodzenia do prawdy. Tak oto z jednogo konfliktu wyprowadził Kruczkowski dwie odmienne konfrontacje nowego ze starym, aby ukazać „nieuproszczone” konsekwencje ludzkiego prostego zdarzenia „młodego” i proces historycznego, przewrót w duszach ludzkich uchwyty w warunkach nie- na uralnych.

Kruczkowski przyzywał nas, że sztukom jego stawiać można najwyższe wymagania i nie poczuć się zawiedzionym. Od tego nawyku trudno się uwolnić wobec „Od-wiedzin”; skłania on tym razem do wypowiedzenia uwag krytycznych

Już pierwszy akt, który zgodnie z tradycją zawiera ekspozycję wątków i postaci potknął się, jak myślę, przy wprowadzaniu na scenę Sulmy. Autor postanowił zaprezentować go pośrednio w relacji kierownika placówki. Otóż ten Wrona jest, jak wiemy, człowiekiem z awansu i pod względem cenzusu społecznego nie różni się od laboranta Sulmy. Tym więcej dziwi sposób, w jaki Wrona epatuje swoich gości ankietą, personalną laboranta. „Kolega Sulma jest jednym z tych ludzi, których nasze państwo ludowe wyzwoliło z zależności od klas pasożytniczych i powołało do zadań znacznie pożyteczniejszych niż usługiwanie darmozjadom... Nasza rewolucja przywróciła Karolowi Sulmie nie tylko jego właściwe imię, Siegnęła znacznie głębiej, w jego duszę, w jego sposób myślenia”. Nie idzie mi o styl, bo wiadomo że to jest mowa kształcona na gazecie; idzie mi o psychologiczne nieprawdopodobieństwo takiej sytuacji. Zresztą i ten cudzysłów, którym opatrzył Kruczkowski wypowiedź Wrony, nie wychodzi jakoś w teatrze; przynajmniej w tej partii tekstu

Niezależnie od tego, jak ocenimy sposób wprowadzenia do akcji Sulmy, trzeba powiedzieć: już w ekspozycji autor zdaje się zapowiadać, że Sulma będzie postacią centralną. Zapowiedź ta w zasadzie została dotrzymać w akcie drugim, naj-

lepszym w sztuce; w akcie wielkich dialogów ideowych, które przywodzi, i myśli mistrzostwo „Niemości” i „Juliusza i Ethel”. Ale w ostatnim akcie autor zapomina jakby o bohaterze, na rzecz Joanny i jej zderzenia z opinią. I chociaż losy Sulmy ważne są jakoś i dla Joanny i dla Wrony, i dla wsi, i dla widza, któremu powstała stała się szczególnie bliska, nie się z tym Sulmą już do końca nie dzieje; „milczy ze spuszczoneą głową”, albo odwraca się do ściany.

Takie rozwiązanie rzuca cień na Wronę, który jest wprawdzie programowo pozytywny, ale ogólnie mówiąc — brakuje mu trochę inteligencji i naturalnej wnikliwości, a bez nich czynnie jest czujność? Po wyeliminowaniu Sulmy akcent ważności pada na Joannę, która niewiele ma danych na bohaterkę. „Pani? pani nas tyle obchodzi, co zeszlizowany śnieg!” — mówi brutalnie młody chłop. To stanowisko udziela się po trosze widzowi. Zawinił tu swoją świetność akt drugi, przykuwając uwagę do Sulmy. Nie mam nic przeciw eksdziejczkom na scenie. Ale trudno — nawet przeżycia byłych lokajów bywają czasem ciekawsze.

W związku z aktem trzecim nawiedza mnie jeszcze taka myśl: Czy konfrontacja Joanny z w s z y t k i m i s t a n a m i wsi nie osłabia tego wstrząsu, który powinien przeżyć córka dziedziców i który winien udzielić się również widzowi? Po znakomitym epizodzie z Półtoraczką (doskonale zrobiła ją Muncłingerowa) i Kłysiem (którego przejmująco zagrał Madaliński) właściwie wszystkie możliwości są już wyczerpane; idzie przecież o to, aby Joanna zobaczyła ohydny służalczość kulaństwa i pelen surowej godności gest skrzywdzonych. Dlatego też doznaję wrażenia, że sztuka w istocie kończy się wcześniej niżby na to wskazywał tekst. Trudno jednak odpowiadać za wrażenia — pozostawiam więc sąd w zawieszaniu.

IV

Nie podejmuję się chwalić warszawskiej premiery jako przedstawienia — raża mnie pewne chwytliwe naturalistyczne i brak jednolitej koncepcji, wyraźny zwłaszcza w epizodzie Morgowiak — Jarzyna — Gnat. Nie widzę też w teatrze refleksji nad pewnymi odległymi wprowadzile, lecz narzucającymi się

skojarzeniami. Kruczkowski sam wspomina o „Przepióreczce” Żeromskiego. A zdania: „Takie to wszystko dziwne. Jacyś ludzie do tego domu wchodzi i wychodzą, kiedy chcą... Co to wszystko znaczy?... j. kłes upłory, stare krzywdy świątwa...” Sama przyszła, sama odeszła. Prawie jak jakiś sen...” — takie zdania też powinny przywołać pewne analogie nie tylko historykom literatury.

Natomiast na chwałę zasłużyły niektóre role. Poczucie proporcji każe mi zacząć od Ciecierskiego. Jego Sulma jest jedną z największych kreacji tego aktora i na pewno przyszedł go zaliczyć do najwybitniejszych kreacji t e a t r u Kruczkowskiego. Nocny dialog z Joanną (trochę za sztywno kreowała ją Rysiówna) rozegrany na dwa cre-senda z środkową partią wypowiedzianą w rytmie urywanym, co



Scena z aktu III-ego. Rysiówna, Madaliński i Ciecierski (Wielhorska, Kłys i Sulma)

Fot. Fr. Myszkowski

C z y s i e

rym mundurze oficerskim bez oznak. Za nim stali dwaj muskularni chłopcy w klubowych koszulkach. Z czoła siwowłosego spływał strugami pot, ale wszystkie guziki munduru miał starannie zapięte. Stuknął obcasami:

— Towarzysz inżynier Więcek? „Inżynier? Niech będzie”.

— Ja.
— Porucznik rezerwy Oldak. — Ukłonili się sobie. Porucznik otarł pot z czoła i przesunął ręką po guzikach mundur. — Chciałem zwrócić towarzyszowi uwagę, że jego zachowanie się pozostawia wiele do życzenia.

— Moje za...?
— Tak, towarzyszu! Niech towarzyszy pod rękę z towarzyszką Joczysową. Czy towarzysze wie, kto to jest towarzysza Joczysowa? Wdowa po kapitanie — bohaterze. Tutaj jest tabliczka, proszę spojrzeć. A towarzysze usiłuje splamić jej godność w oczach Luborza! Skompromitować ją. Pani kapitanowa — to „pani” wystrzeliło niespodziewanie z nawału „towarzyszy” — pani kapitanowa z nim się nie zadaje. Wyprasamy sobie podobne poufałości! W naszym miasteczku te warszawskie kawały się nie udają!

— Ależ dajcie mi spokój! — wykrzyknął zootechnik. — Przecież chciałem się z nią ożenić!

Porucznik drgnął.
— Ożenić?
— Tak.
— Mówił jej towarzysze o tym?
— Mówilem.
— No i?...
— Odmówiła — przyznał niechętnie zootechnik.

Porucznik uśmiechnął się:
— No widzi towarzysze. Bo towarzysze nie zdaje sobie sprawy, kto to jest pani kapitanowa. To pościła. Osobistość. A wy... Towarzysze inżynierze, to jest sprawa polityczna. Tak dalece! Czy nie lepiej byłoby, gdyby towarzysze inżynier zainteresował się którąś z naszych dziewcząt? Byłbym gotów towarzyszowi w tym pomóc. Może wybierzemy się do Mirska? Miałbym świetną partię dla towarzysza inżyniera! Ona zarabia czterysta dniówek rocznie. Skarb, towarzyszu!

Zootechnik odwrócił się i odszedł bez słowa. W tydzień później wyjechał do Mirska. Wrócił w rozterce: dziewczyna niczego sobie, młoda, zdrowa, pali się do zamążpójścia, 400 dniówek rocznie wreszcie jest. Tylko to nie tamta. Jabłecznik też kwaśny, za to pierogi ruskie były — znakomitość.

Minęły 3 tygodnie i zootechnik znikł z Luborza. Osiadł w Mirsku. Po jego wyjeździe Joczysowa jeszcze mniej się udzielała niż dawniej. Z poczyt wracała wprost do domu. Wszelkie sprawunki zalegała jej matka. Widywano czasem kapitanową, jak stojąc w oknie rozczesywała swe długie, jasne włosy, ale nikt już nie twierdził, jakoby przy tym nuciła. Tylko krawcowa Kopczyńska, która już trzeciego męża pochowała, mogła się poszczycić wizytą Joczysowej. Była u niej i zostawiła materiał do szycia: dwie sukienki, krótki rękaw, kolory żywe, dekolt taki, że wdowie nie przystoi.

Wydobywa nieporównaną melodyjność zdania: „Potem przychli. Rok idzie, drugi, trzeci, a każdy starczy za dwa. Robię, robię, robię a patrzę na wszystko sumiennie, akuratnie... A jak patrzysz, to widzisz... Robota ciekawa, ciekawa! Młode, wyuczone ludzie... I nie żęby dla siebie — co oni tam? jeść byle jak, wygód żadnych, uciechy tyle co w świetlicy...” Była w Ciecierskim i wrodzona prawdość gdy powtarzał to swoje: „jak człowiek człowiekowi” i świeżo rozbudzona ciekawość świata „jak też to będzie dalej szło, ku lepszemu, co wszyscy mamy zbudować”, i surowa siła moralna drugiego człowieka: „ale do tamtej ślepoty, com w niej tyle lat żył, to już ludziom nie trzeba! nie wolno!”

Dwie jeszcze zobaczyliśmy kracie na miarę wybitną. Butkiewicz starał się być partnerem Ciecierskiego w walce o duszę Joanny. Stworzył bezoką, amorficzną maskę plaża; jego oblesny rehot na długo pozostaje w uszach: „ano tak, żeby nie za przedko. kuzyńko... Nogi w klej, ręce w piasek, u mnie inne rachunki, całkiem proste...”

Działka Migacza, którego cudowna, obledna gadka o „Migaczach z miasta Newark” powraca jak refren ludowej piosenki, ożywił Małkowskiego. Potrafił być żalony i śmieszny, budził współczucie i prowokował do śmiechu.

Na zakończenie uwag o grze pragnę zebrać łos w kwestii słowików. W Teatrze Kameralnym dla wtworzenia nastroju majowej nocy przez dobry kwadrans śpiewają prawie autentyczne słowiki. Tekst sztuki istotnie mówi o słowikach. Myślę jednak, że wytworzenie nastroju majowej nocy jest obowiązkiem aktorów i że tego, co w słońcu nie udało się człowiekowi, nie zrobią młode otaszki! — nawet z całego województwa.

Andrzej Wirth

W przededniu otwarcia roku szkolnego wybrał się do Joczysowej porucznik Oldak.

— Pani kapitanowa zna moje uczucia dla niej — zaczął.

I on, i stara matka, która siedziała w kącie pokoju na fotelu był z dumnie ostrością jej odpowiedzi:

— Znam! Znam!

Ale zaraz pohamowała się i zapytała spokojnie, tylko głos jej z lekka dygotał:

— Czemu mnie pan nigdy nie nazwie Małgorzatą? Ja mam imię, proszę pana. Zawsze „kapitanowa, kapitanowa”...

— Bo ja... Widzi pani, dla nas będzie pani zawsze panią kapitanową. Nigdy nie zapomni...

— Ale, panie poruczniku — przerwała mu — pana zapewne wprowadza do mnie jakaś sprawa?

— Tak. Znakomity jabłecznik, proszę pani — zauważył nagle. — I ten piernik — pyszności. Pani sama?

— Sama! Ja wszystko umiem! I przy gospodarstwie, i przy kuchni. Gram na banjo! Pan nigdy nie słyszał?

Odpowiedział zaskoczony:
— Nie słyszałem.

— Zygmunt często mnie prosił: graj. Lubił się przysłuchiwać.

— Tak — powiedział Oldak — pan kapitan to był dusza człowiek. Właśnie o tym chciałem mówić.

Jego podbródek zeszytniał.
— Proszę.

— Od dawna chcieliśmy już uczcić jakoś trwałe pamięć pana kapitana. I teraz właśnie udało nam się.

— Dom Kultury? — domyśliła się.

— Tak. Chcemy go nazwać jego imieniem. To już jest postanowione. Tabliczka też już jest. Więć prosimy uświetnić. Będą przemówienia. Bez pani to nie wszystko wyjdzie nie tak. Więć prosimy pamiętać: o piątej. Będą dzieci, delegacje, ktoś z województwa. Książdz też. Przyjdzie pani?

Domyślił się raczej niż dosłyszał:
— Przyjdę...

Wyszła z nim na dwór. Tam, szczypiąc listki akacji, zapytała:

— To prawda, że ten pan... pan Więcek...?

— Ze ożenił się? Prawda. Z Małciejewską. Więć nie zapomni pani?

— Nie zapomnę!

Prawie krzyknęła. Wbiegła po schodkach do domu. Porucznikowi wydało się, że słyszy jakiś przeciągły szpazm.

Przez chwilę stał niezdeterminowany, wreszcie machnął ręką i poszedł sobie.

Najajutrz na próżno na nią oczekiwało. Minęła piąta, a kapitanowa wciąż nie nadchodziła. Wszyscy zebrał się już w komplecie. Był jakiś towarzysze z województwa, delegacje, dzieci, hurma luborzan. U stóp wbitego w klomb masztu leżała białoczerwona flaga — na maszt miała ją wciągnąć Joczysowa. Ludzie sarkali: „zaczynać”. Orkiestra kolejarzy jeleniogórskich wierała się w miejscu, instrumenty poblyskiwały w słońcu, i niecierpliwie dedolili.

Porucznik postanowił pójść do Joczysowej, przynaglić ją trochę.

Wiadomo, kobieta, guzdrze się. Trochę niepokoiła go wczorajsza rozmowa. Postanowił zwrócić się o pomoc do księdza, ten potrafi przekonywać.

Poszli we dwójkę.

Drzwi otworzyła im stara pani. Książdz pochwalił Boga, a porucznik zdobył się na rubasznosc:

— Co to z panią kapitanową? Zegarek zgubiła? Cały powiat czeka.

Starej latały ręce.

— Na Małgosię? Nie ma Małgosii. Nie ma jej.

Książdz i porucznik wymienili spojrzenia.

— Jak to — nie ma?

— Nie ma. Wyjechała. Wczoraj wieczorem.

Porucznik przyklnął ciężko powieki. Poczuł się nagle stary i niedołyżny. Stary i głupi.

Książdz zapytał rzeczowo:

— Dokąd wyjechała?

— Do Wrocławia.

— Na długo?

— Na zawsze, mówiła. Na zawsze, mamusi. Napiszę do ciebie, mamusi, i przyjeżdżaj. Wszystko rzuć, mówiła, i przyjeżdżaj.

Oldak usiadł na krześle, ścisnął głowę dłońmi.

— Dlaczego? Dlaczego? — powtarzał. — Tak ją kochaliśmy. Tak się starałiśmy. I pamięć jej męża... i wszystko...

— Nie wiem — mówiła stara. — Nie wiem. Powiedziała: rzuć wszystko, mamusi, wszystko rzuć. Niczego mi nie trzeba.

Powtarzała trzęsąc głową:
— Niczego. Niczego.

— Bog ja wspomóżę — wydusił z siebie książdz. — Przez pamięć na wdowi grozi...

Stara zwróciła się do porucznika:
— To już pan wybaczy...

Książdz przypomniał:
— Ludzie czekają.

W milczeniu szli obok siebie — książdz i porucznik rezerwy Oldak. Ciemna, przejrzała zielen drzew wisiała nad nimi nieruchomo. Tylko drobne liście osiki trzepotały pod muśnięciami nie istniejącego wiatru i iskrzyły się jak zimne ognie. Książdz odetchnął głęboko: lubił ten pejzaż. Asfaltowa, wysadzana lipami szosa, białe słupki na zakręcie, wzniesienie porośle wrzosem, a za nim, na przeciwległym zboczu — młody sosnowy zagajnik.

Nie było go stąd widać, ale wydawało się, że jego żywiczny zapach donosi się aż tu.

Nagle książdz znieruchomiał. Widział wyraźnie, jak dwie trzymające się za ręce postacie wspinały się chyłkiem na wzgórze. Tak! Kobieta była w białej sukience, a on miał na sobie kraciastą, kolorową koszulę.

— Zgroza — szepnął książdz. — To żona Pietraka.

— Zgroza — powtórzył. — Nie można na to pozwolić, panie poruczniku. Nasz obowiązek... Chodźmy!

Porucznik chwycił go za ramię. — Zostawmy ich — powiedział zduszonym głosem. — Nie trzeba.

Książdz wzruszył ramionami. Ach, ci partyjni! Nigdy nie wiadomo, na jakim są etapie...

— Zostawmy ich — powtórzył energicznie porucznik. I przypomniał: — Ludzie czekają.

— Tak, to prawda — przyznał książdz. — Idziemy.

Po drodze kilkakrotnie jeszcze odwracał się wypatrując tamtych. Ale już ich więcej nie zobaczył. Zdążyli ukryć się za wzgórzem.

Józef Hen

ARNOLD ŚLUCKI P O W R Ó T

Na zielonym sienniku,
ręce złożony pod głową,
śpi rzeka.
Noc frontowa,
Stoję,
wróciłem z daleka
z powrozem tęsknoty na szyi,
śpij,
siostró ma rzeko
pod wozem gwiazd złotych niczym.

Uśnij,
wróciłem,
karabin
przez góry-rzeki przeniosłem,
biegłem,
wołałem: zablj,
sznur naboju dźwigałem na piersi,
a w sercu dwadzieścia wiosen.

Zakopywałem się w piasku,
śladam
narodów stu siedłem,
dzwoniłiśmy menażkami,
tarczami z mosiądzu
przez sto pól.

Byleby zastać cię żywą,
byleby szum w tataraku,
świr ptaków tysiące
od topól.

CHESŁAW MICHNIAK B O L S Z E W I K

Przez zakratowany otwór w murze wpadała tu garść powietrza. Wdychałem je z chciwością kuracjusza, syciłem się widokiem mleczarza z banką na plecach, schodzącego w dolinę, smukłych świerków i obłoków, które niemal zawadzały o wzgórze. Z jego szczytu zsuwał się srebrzysty wagonik kolejki linowej.

Zamknięty od miesiąca w więzieniu śledczym w B. oskarżony byłem o buntowanie cudzoziemskich robotników przeciwko dyrekcji fabryki, o złośliwe uchylanie się od pracy — jednym słowem „staatsfeindliche Verhalten”. Przestępstwo nie należało do najcięższych, niemniej po przyznaniu się do winy, co nastąpiło po konfrontacji z dwoma fabrycznymi szpiclami, groził mi obóz karny w Innsbrucku. Więźniów używano do odgrzebywania bomb zegarowych, które Amerykanie zrzucałi ostatnio dość często na austriackie miasta a zwłaszcza na Innsbruck.

Współtowarzyszami, wyrażając się banalnie, mojej niedoli był pewien Grek, którego złapano prześlizgującego się przez zieloną granicę do Szwajcarii i dwóch Serbów, ujętych w czasie ucieczki do kraju. Dopiero wczoraj dokwaterowano rodaka z Polski. Był to chłopak lat około 18, niezwykle warty, o szarej małutkiej twarzyczce i łysej głowie — włosy miał zgolone „na zero”.

Pochrząkiwał sucho, zakrywając dłonią usta. Noc przeszedł z przykmiętnymi oczami, oparty o piec. Drzemał a może rozmyślał nad swoim losem. Przyjechał tu podobno z Oświęcimia — to wszystko, czego dowiedzieliśmy się okólną drogą, bo nasze pytania zbywał upartym milczeniem.

Teraz leżał na sienniku, marszcząc chwilami czoło, co nadawało jego obliczu wyraz zdziwienia.

— Słuchaj — próbowałem miętko — za co cię zamknęli?

Obrzucił mnie smutnym spojrzeniem dużych wystraszonych oczu, jakby prosił: „Zostaw mnie w spokoju”.

Potem znowu podszedł doń wysoko, kruczowłosy Serb. Ścisnął go za rękę, patrzył w oczy i nachylając się nad nim zachęcał.

— Pograj z nami w warcaby, no, druż!

Chłopak milczał.

Potem zbliżył się do niego krępy,

wielka, drgająca taca. Szwajcarski brzeg podrywał się po drugiej stronie wody przyjazny i nieosiągalny.

Kolega z Polski siedział ze mną ramie w ramie, lekkim miarowym krokiem. Tutaj, za murami więzienia nabrał jakby wigoru, poweselał.

— Warszawa? — skorzystałem z okazji.

Popatrzył na mnie uważnie, po czym mruknął coś niechętnie. Radość zgłaszał ci pomyk świeczki na przeciągu. Odwrócił głowę w stronę gór, które obserwowały spokojnie nasz przemarsz. Niebo było bezchmurne, bardzo niebieskie.

Amtsarzt urzędował w ciężkim budynku starostwa naprzeciwko portu. Tamten brzeg w czystym powietrzu wydawał się dziwnie bliski. Odróżniałem nawet wieżyczki kościołów — sięgnąć by ręką. Ale rzeczywistość była niewesoła. Zanośilo się na dłużej. Zachodni nasi sprzymierzeńcy guzdrali się na przyczółku normandzkim, wschód zbierał siły do jakiejś wielkiej ofensywy. OKW donosiło tylko o „Spähtrupptatigkeit”.

Nagle szarpnęło mnie coś za marynarkę. Kolega z Polski pokazywał palcem korony drzew, obrzucone późnym, październikowym słońcem. Zarumienił się, wydawał się niemal szczęśliwy.

— Szczerozłote, co? — rzekłem.

Kiwnął głową, zachwycony.

Weszliśmy do poczekalni. Schupowcy zapalił fajki a nam kazali się rozbierać. Watły kolega z Polski ściągnął zieloną wojskową, pewno z angielskich zrzutów, koszulę. Wypiął swą mizerną klatkę piersiową, na której skóra unosiła się pod naporem zerca. Pocił się, trąc ręce o spodnie. Chrząkał teraz częściej.

Nadchodziła ciężka próba. Wiedziałem, że Amtsarzt ma prawo w wyjątkowych wypadkach zaoponować przeciwko umieszczeniu „Ausländera” w obozie karnym. Dotyczyło to zwłaszcza osób chorych na gruźlicę. Mimo całej swej bezwzględności w traktowaniu ludzi władze nazistowskie liczyły się jednak ze zdrowiem wołów roboczych, które po zwycięstwie Hitlera miały pracować jeszcze kilka ładnych lat przy odbudowie zniszczonych miast.

Do gabinetu lekarza wszedłem pierwszy. Za mną — reszta. Schupowcy zapalił fajki a nam kazali się rozbierać. Watły kolega z Polski ściągnął zieloną wojskową, pewno z angielskich zrzutów, koszulę. Wypiął swą mizerną klatkę piersiową, na której skóra unosiła się pod naporem zerca. Pocił się, trąc ręce o spodnie. Chrząkał teraz częściej.

Nadchodziła ciężka próba. Wiedziałem, że Amtsarzt ma prawo w wyjątkowych wypadkach zaoponować przeciwko umieszczeniu „Ausländera” w obozie karnym. Dotyczyło to zwłaszcza osób chorych na gruźlicę. Mimo całej swej bezwzględności w traktowaniu ludzi władze nazistowskie liczyły się jednak ze zdrowiem wołów roboczych, które po zwycięstwie Hitlera miały pracować jeszcze kilka ładnych lat przy odbudowie zniszczonych miast.

W zachowaniu lekarza dostrzegłem coś w rodzaju zainteresowania kolegą z Polski. Klepnął go lekko w łopatkę, jakby zachęcał do rozmowy.

Ale tamten milczał, a w jego oczach pojawił się ten sam żalostny refleks jak wtedy w celi, gdy pytałem o powod aresztowania.

— Warum schweigst du. Junge? Niks gesund? — nagabywał lekarz trochę już rozszłoszony.

Chłopak zbierał tymczasem siły, skurczył się w sobie, jak pływak, który szykuje się do skoku. Lekarz tego nie widział.

— Niks sprechen? Mówicz! — ryknął. Pocerwienił jak indyk. — Idiot!

Wtedy chłopak zbladł, zakrztusił się.

— Uuuuuuuu — potworny jakiś bełkot wydostał się z jego gardła. Przemówił.

— Aufmachen! So, so... — krzyknął zwycięsko lekarz. Chwycił go oburącz za głowę. Zająrzał w otwarte usta.

W pokoju zrobiło się cicho. Wstrzymaliśmy oddechy. „Zielony Schupo” wyciągnął żylastą szyję, wyjął fajkę z ust. Tylko za oknem buczała smutnie syrena statku, odchodzącego do Konstanca.

— Aber, aber... — przerwał ciśszą lekarz — du hast doch keine Zunge. Niks Zunge!

Temu chłopcu wyrwano język.

Stał teraz naprzeciwko Amtsarzta z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i tą swoją mizerną piersią podaną do przodu. Po policzkach spływały ciężko łzy.

Lekarz myślał, bębniąc palcami po wypolerowanej powierzchni biurka. Nagle potarł ręką czoło, ożywił się, jakby znalazł wyjście z tej trudnej sytuacji.

Kątem oczu zerknął w moją stronę.

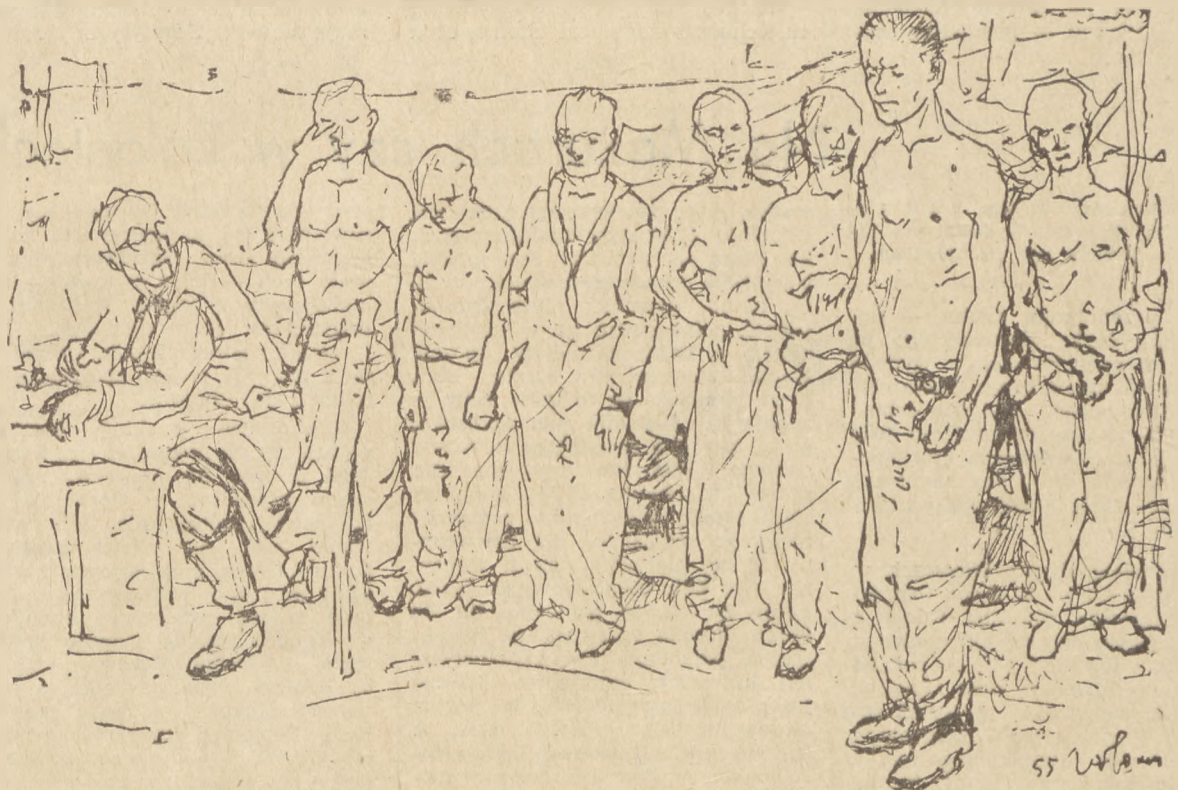
— Du bist auch mager — powiedział z pewnym współczuciem. Dał mi lekkiego klapsa w łopatkę.

— Mager — rzekłem głośno i wyraźnie.

Kolega z Polski płakał jak małe, skrzywdzone dziecko.

— Niks weinen — wycedził Schupowiec, otaczając się kłębem dymu. — Verboten!

Lekarz usiadł. Jeszcze się zastanawiał. Cóż miał uczynić z tym nieszczęsnym chłopaczyną? Nie ulegało jednak wątpliwości, że w ten



Rys. Zbigniew Florczak

kwadratowy Grek Karamakulos, zarośnięty na pół palca. Modulując swój chrapliwy głos przemawiał do kolegi z Polski cicho, delikatnie.

— N i k s schlecht. Alles gut! Gut!

Przeszło bez wrażenia.

Potem ja skoczyłem do niego z pięściami.

— Będziesz gałał, do cholery, czy nie? Nie strąjaj z nas wariatów!

Zaszył się w rogu celi, rękami zakrył głowę, jakby chronił ją przed ciosami. W oczach pojawił się strach.

— No już nic, nic — zrobiło mi się przykro. — Jak sobie chcesz! Daliśmy mu spokój.

Wtem drzwi otwały się z hłasem, ukazał się w nich strażnik. Trzymał przed sobą kartkę papieru, z której wraskliwie odczytywał nasze nazwiska.

Staaliśmy na baczność.

— Zum Amtsarzt — powiedział strażnik — und dann ins Kaset!

Za kilka chwil obstawieni przez zielonych Schupo pomaszlowaliśmy krętymi uliczkami w dół miasta, nad jezioro.

W oddali za fienem wieczne śniegi Sántis podobne były do pierzyny, rzuconej niedbale na tło rudziejących z kołosem wrzescia gór. U ich stóp leżało Boden-See niby

po stuknął obcasami, wydając z siebie urzędowy, powitalny ogłos.

Uformowaliśmy szereg pod ścianą.

Amtsarzt był blondynem o zmęconej kobiecej twarzy, obciągniętej białawą skórą, przez którą prześwitywały niebieskie sznureczki żyłek. Wyraz jej był apatyczny, jak u ludzi przemęczonych i co ważniejsze znudzonych mechaniczną pracą opukiwania setek pacjentów dziennie.

Zbliżał się po kolei do każdego z nas, kazał wywalić język, oglądał zębę, pytał się monotonnym głosem, czy czegoś nam nie brakuje.

— Gesund?

Grek chwycił się za wątrobę, pokazywał coś na migi, powtarzając jak kołowrotek „krank, krank”. Serb złapał się za brzuch. — Przekuplina — krzywił się, jęczał.

Ale dla Amtsarzta to wszystko było bez znaczenia.

Stałem ostatni w szeregu, rodak z Polski zaraz koło mnie z prawej strony. Właśnie podszedł do niego lekarz.

— Co ci dolega — spytał. — Gesund?

Wielkie, ciemne oczy chłopca błyszczały gorączką, długie rzęsy rzuciły cień na policzki. Zakaszał, ale milczał.

sposób torturowano tylko człowieka, który milczał. Na ten temat nasłuchał się wręcz nieprawdopodobnych historii. A do takich milczków należeli wiadomo kto... Oto jeden z nich! Należało więc zachować środki ostrożności.

— Du... schön mówicz — rzekł lekarz, wskazując na mnie długim, białym palcem. — Du niks rot! So, so... — mrucał w dobrym humorze, jakby pozbyl się wątpliwości, która mu nie dawała spokoju. Uśmiechnął się. Skreślił szybko kilka słów, w tym i moje nazwisko. Machnął zamazyszczone podpis, wyjął z szuflady pieczęć. Chuchnął, przywalił.

„Bolszewik” poruszył bezgłośnie wargami, zatrzepotał rękami jakby chciał coś powiedzieć, z czegoś się wytłumaczyć. Daremnie, jego wąta postać tylko zatrząsła się bezsilnie.

Wizyta u Amtsarzta była zakończona. „Zielony Schupo” wstał i pykając fajkę wydał z siebie krótki pożegnany ogłos. Wyszliśmy.

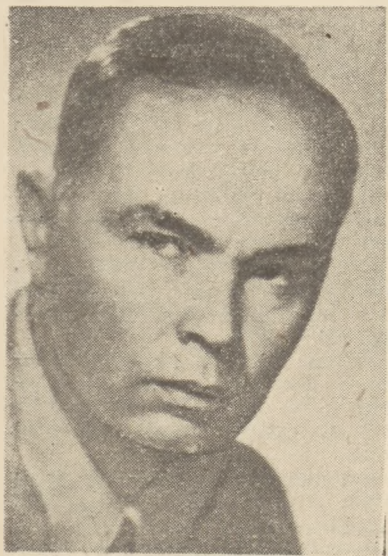
Najajutrz zapłaciwszy karę pieniężną zostałem z więzienia zwolniony jako „transportunfähig”. Oni pojechali. Czy kolega z Polski przeżył wojnę i czy był rzeczywiście komunistą — tego się nie dowiedziałem.

Czesław Michniak

Poznań, wrzesień 1955 r.

książki • książki • książki • książki • książki • książki

Fakty i wyobraźnia



Ksawery Pruszyński: O p o w i e ś c i. PIW 1955 s. 334. Wstęp K. Koźniewski.

Nie trzeba na to Marks'a, by odkryć, jak urodzenie ciąży w następstwie na losach człowieka" — pisał Ksawery Pruszyński w książce o Aleksandrze Wielopolskim, wydanej w roku 1946. „Pochodzę z ziemianńskiej rodziny kresowej (...) Zaczepiłem z przeszłości tradycyjnego, wiejskiego domu wiele tradycji szlacheckich, feudalnych może nawet..." — pisał ten sam autor w reportażu „Palestyna po raz trzeci", wydanym w roku 1936. Długa i trudna była droga Ksawerego Pruszyńskiego do Polski Ludowej. Zaskakująca była przemiana publicysty w pisarza, reportażysty w prozaika. Autobiograficzny bohater opowieści „Odejścia i powroty" ma — wręcz jakoweś tło sylwetki z innych utworów — refleksyjne usposobienie. Siedzi oto w rozkołysanym w czasie jazdy brytyjskim czolgu i rozmawia. „Film życia, och, jak dobrze mu znanego życia, wypelził z powrotem na ekran myśli. Manuel patrzy na nie, prawie od początku, małe i śmieszne dzieła, wydające się wtedy ważne i tragiczne — o, tak jak upadki i pierwsze kroki dziecka. Jakże daleko poszedł! Jakże daleko odszedł! Manuel jest rad, że tak właśnie, po wielu potknięciach, poszedł, że jego droga nie była stamtąd, skąd wyszedł, łatwa do odnalezienia (...) To szukanie długie i trudne, i to przyjsięcie z daleka, oto rzeczy, jakie podobają mu się w tym filmie. Podoba mu się trud szukania i meka myślenia". Spróbujmy — jeśli nie odtworzyć drogi Manuela — to przynajmniej wskazać na jej istotne momenty. Szabla i ryngraf — pod takim zna-

klem wchodził w życie Ksawery Pruszyński. Związany silnie ze światem, któremu groził nieuchronny zmierzch, nie stał się przecież jego apologetą. Owszem, Pruszyński rozmiłowany jest w narodowej tradycji — ale tradycji Kościuszki i Koliątaja, Staszica, Lelewela i Mickiewicza. To mu pozwala mimo wielu pomyłek odróżnić podczas „Podróży po Polsce" oficjalne sanacyjne frazesy od mniej różowej rzeczywistości, odważnie wystąpić przeciw wzrastającej fali płytkiego fideizmu: „Od powrotu czasów saskich, od powrotu saskiej religijności i saskiej wiary zachowaj nas Panie!". (s. 10).

W jednym z reportażów wspomina Pruszyński o statystykach wykazujących wzrost religijności w Polsce, doda z goryczą od siebie: wzrastają także pogromy żydowskie. Myśląc o swych czasach studenckich, napisał: „Proste uczucie etyczne nie mogło się nie burzyć w tych latach". Kiedy się dziś czyta przedwojenne książki Pruszyńskiego, to mimo całej niechęci autora do dokonanych na Wschodzie przemian (widoczne to jest zwłaszcza w reportażu palestyńskim), wylania nam się człowiek uczuciowy, człowiek — brzmiało patetycznie — poszukujący prawdy. W okresie wojennej tułaczki wszedł Pruszyński jeszcze niewykryształizowany, doświadczenia żołnierskie stały się katalizatorem, przyspieszyły i sprecyzowały kierunek rozwoju. W przedmowie do książki „Margrabia Wielopolski" wspomina pisarz owe lata: „byłem zwolennikiem wykonywania innej przyszłości polsko-rosyjskiej w dniach, kiedy armie rosyjskie były się jeszcze i krwawiły pod Stalinogradem, Kurskiem i Kalininem, nie wtedy dopiero, kiedy poprowadziły zwycięski marsz swych czolgów za Odrę. Nie twierdziłem niczego więcej. Było to jednak wystarczające by spowodować niezwykle ostrą kampanię prasową i osobistą ze strony tej olbrzymiej części emigrantów, którzy przez niepodległość Polski rozumieli bądź powrót do rządów przedwzrostowych, bądź odbudowę jej wedle recepty Mussoliniego, Petain'a czy generała Franco". Pruszyński powrócił tuż po wyzwoleniu do kraju, by pomóc w „gruntowaniu obrazu" (tytuł reportażu — pierwszego w kraju po wojnie) nowej Polski. Tragiczna, przedwzrostowa śmierć przerwała życie pisarza.

Pośród literatury wojennej zdecydowanie w pierwszym szeregu stanęły dwie bliźniacze książki: „Trzy-nastcie opowieści" i „Karabela z Meschedu". Po latach prawie dziecięciu nie wznowiono ich w całości. Zadowolili się musimi wyborem. Czy wybór jest trafny? No cóż — w grę tu wchodzić mogą dość istotne, obok

innych kryteriów, upodobania indywidualne. Wyraźnie brak mi w tym tomie „Ziętarowych skarbów" i „W Giewaldowie", mógłbym sobie natomiast podarować — „Spadochronowy witraż".

Pruszyński połączył w „Opowieściach" dwie — bardzo odrębne — metody pisarskie, dwa typy relacji: reporterską ścisłość faktów i poetycką bujność wyobraźni, autentyzm i romantykę, codzienność i niezwykłość. Akcja „Wiatraków z Ranley" toczy się „późną jesienią 1940 r." Roman Ciemior, któremu pisarz dedykuje „Człowieka z rokokowego kościoła" wystąpi w opowieści o „Sprawie Smagacza", a spośród trzech księży z „Madonny Mikulińskiej" jeden poległ potem pod Amheim. To są autentyczne daty, autentyczne nazwiska i miejscowości. I właśnie w ten reporterski żywioł wtapia Pruszyński motyw jak najbardziej niezwykle, nieprawdopodobne (nawet na wojenne stosunki), czasem fantastyczne.

Tajemnicze zabarwienie witraży w szkockiej kaplicy domowej, podrużone „Księgi narodu i pielgrzymstwa", fotografie dwóch poległych Bawarczyków z jednej miejscowości i jednego nazwiska, major polski z Hiszpanii, który po latach zjawia się przed konającym żołnierzem już nie ze słowem pogardy, ale z orderem w ręce; Lelewel wśród polskich oficerów w brukselskiej kawernie — to druga warstwa opowieści.

Żołnierska tematyka nie obejmuje zasadniczych problemów polskiego życia emigracyjnego na Zachodzie w czasie trwania drugiej wojny (poza takimi utworami jak „Odejścia i powroty" czy „Pomiędzy wilki"). Ale poprzez codzienną niezwykłość tułaczki dołi, poprzez zaskakujące skojarzenia i pointy — przewija się głęboki nurt spraw najistotniejszych. Manuel — porte parole autora — patrzy w swą przeszłość, wnikiwie i krytycznie wgląda w teraźniejszość. Losy polskich formacji wojskowych są uderzająco podobne do bijących się o głowę swego wodza Murzynów. „Przy nas — czytamy — była dywizja strzelców senegalskich. Wszyscy czarni i bardzo dzielni. Też byliśmy długi na froncie — jeszcze dłużej niż my — też krótko w odwodzie. Ordery i wzmianki w rozkazie dziennym przychodziły im trudniej niż nam". A wszystko w imię tego: „powiedzieliśmy im, że jeśli Murzyni pójdą bić się do Europy, to dobry aliansi doszedłszy do Berlina odbiorą zasuszoną głowę i odeślą ją do Konga — a aliansi są dzentelmenami i dotrzymają słowa". Sceptycyzm i rozczarowanie

wzrastają w polskich szeregiach, przybierając — jak w wypadku owego oficera, który po promienieckiej mowie Churchilla nie nosił brytyjskiego odznaczenia — formy naiwnego protestu. Rozczarowanie wobec sojuszników idzie w parze z pogłębiającym się rozdzwiekiem między tymi, którzy nosili znojny żołnierski mundur i tymi, którzy paradowali w stroju balowym. Pruszyński potępia kaskadę zawodowych oficerów, działaczy i urzędników emigracyjnych z całą ostrością, oskarża ich o zdradę narodu w tragicznych dniach września. Sierżant Jan Pilecki służył wojsku z niewolniczym oddaniem. Ale podczas gdy „falanga generałów, pułkowników i majorów sfrunęła gdzieś dalej, on osiadł naraż za drutami (...) obozu o szelazkowej i cudacznej rumunskiej nazwie", a kiedy znalazł się w Paryżu, „w pięknym hotelu urzędowali już po dawnemu dobrane mu znani półbogowie armii". Gdy zbuntowanego oficera wysłano na placówkę dyplomatyczną do USA, znalazł się on pośród ludzi, którzy „stanowili, ogółem biorąc, kaskadę odgrazających się od armii walczącej. Posiadali cudowną strategię wznowienia z powrotem biurek, które zburzono im gdzieś indziej. Ich droga wojenna wiodła via Warszawa — Zaleszczyki — Bukareszt — Paryż — Londyn — aż za bezpieczny odmet oceanu". Jakaż przepaść dzieliła żołnierza, który gwałcił na Narwiku i Monte Cassino od „dobrze odchowanego, suto uodroowanego generała", gdy „uroczyście objędział „pozycje", przeprowadzał „lustracje" z niekłamany zdziwieniem przypatrywał się czolgom, po czym w kasynie oficerskim wracał do opowiadań bujnej młodości i doświadczeń bojowych spod Łowczówka czy Radzimina".

Jedyni bohaterowie — za którymi wyczuwamy wyraźną sympatię autora — to zwyciężający żołnierze, polscy chłopcy z Francji, uczestnicy walk hiszpańskich, konający kapral z „Różańca z granatów", zaszczyty przez dowódców Franek Smagacz.

Bohater opowieści „Między wilki" w stosunku do tego, co określał mianem „Londyn", posiadał raczej gorzki sarkazm. To, co określał jako „Lublin", było dlań „nieznane, niezrozumiałe". Dlatego — jako człowiek nowoczesny — nie zamknął się w mury klasztoru, lecz uszedł w kanadyjskie lasy. Inaczej uczynił sam autor. Trud wojennych doświadczeń utworzył Pruszyńskiemu drogę do Polski. Literackim śladem dojrzwiającego do tej decyzji są opowieści.

Ryszard Wasita

Na Mazurach czy w koloniach?

Marek Domański: Dom nad jeziorem. Powieść. Wydawnictwo Literackie — Kraków 1955, str. 386+1 nłb.

Leży przede mną debiut — powieść Marka Domańskiego pt. „Dom nad jeziorem", wydana nakładem Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego. Książki debiutantów są zwykle dobre i złe jednocześnie, ale ta książka jest specjalnie trudna do oceny ponieważ jest jednocześnie bardzo dobra i bardzo zła.

Rzecz dzieje się na Mazurach w latach 1947—1948. W domu nad jeziorem mieszka inżynier Runik z matką i swym młodym przyjacielem Popielem. Runik i Popiel poznali się podczas okupacji, przy czamgu. Zawiązała się spółka i przyjaźń zarazem. Popiel stracił rodziców i dom, jest sam. Runik i jego matka stwarzają mu dom rodzinny. Runik, spekulant na wielką skalę, spekulant — intelektualista, spekulant uprawiający handel jak filozofie, kształtuje Popiela na obraz i podobieństwo swoje. Jest to filozofia człowieka, który już wie, że jego działalność wyłącznie jemu służy, że jest społecznie i moralnie szkodliwa. Nie zaprzestaje jej jednakże, ponieważ tak to działalność zapewni mu tylko, czego od życia żąda: niezależność. Runik wie, że społeczeństwo kształtuje się na jego oczach będzie funkcjonowało na zasadzie wzajemnej zależności jednostek. Rozumnie, że poczucie zależności może dostarczyć tyleż samo szczęścia, co wolność. Uważa jednak siebie za człowieka innej formacji i nie chce się przestawiać; z pobłażeniem lornetkuje z okna swojego domu przeciwną brzeg jeziora, na którym krztają się drobne figurki rybaków — spółdzielców, członkowie nowego, owadziego społeczeństwa. Nie wypowiada temu społeczeństwu walki w imię zasad politycznych: świetnie wie, że jest to społeczeństwo przyszłości. Wypowiada mu walkę tylko w imię interesów własnych. Będzie walczył tak długo, jak długo się da. Kiedy szanse się skończą, ucieknie na Zachód i być może zdoła życie — a co się dalej stanie, to już rzecz historii. Oczywiście w społeczeństwie socjalistycznym finansową karierę można robić tylko nieuczciwie, tylko metodą pasywności. Ale Runik uważa, że warto popełnić trochę drobnych kradzieży, aby uchronić od utraty własny skarb najcenniejszy: niezależność. Runik wie, że jego pieniądze nie dadzą mu do-

statku, wie, że jego majątek jest fikcyjny. Stąd stały konflikt z matką, która za pieniądze chce przede wszystkim kupować dostatek: meble, lustra, dywany. Chce Runika ożenić, toteż swata go w najnawiejszy i najwulgarniejszy sposób. Runik natomiast jest ascetą. Zdobywa pieniądze po to tylko, żeby je zdobywać. Popielnia sam świństwa, po to, żeby nie paść ofiarą świństwa cudzego. Wszystko poświęca dla samej gry. Jednocześnie dla chorej córki swego przeciwnika, przewodniczącego spółdzielni, dla dziewczyny, której nie lubił, potrafi wygrać cały plik tysiąc złotych banknotów na lekarza, penicylinę itd. Na osobie Runika sprawdza się dialektyczna przemiana indywidualistycznej, kupieckiej moralności. Bardzo jasno widzi się moment, w którym można już tylko kraść, moment, w którym między interesem i moralnością społeczeństwa a interesem i moralnością egoistycznej jednostki nie ma już żadnego związku.

Na tym tle rozgrywa się dramat Popiela. Popiel jest bardzo młody, ciężki ku nowemu społeczeństwu. Na drugim, spółdzielczym brzegu jeziora znajduje sobie dziewczynę. Przeżywa silny konflikt lojalności wobec przyjaciela i wobec dziewczyny oraz jej ożenienia. Demaskuje złodziejską swadą Runika, (który w końcu widząc rozdarcie współnika, zaczyna się przed nim konspirować) śledzi więc go jak detektyw i — cierpi: chce go złapać za rękę, żeby pomóc spółdzielni i jednocześnie nie chce tego osiągnąć, żeby nie stracić przyjaciela. Rozstrzygnięcie następuje z czasem. Nie drogą decyzji, bo wybór między przyjacielem a Magdą jest dla Popiela zbyt ciężki. Ale drogą przystosowania — sam czas dyktuje decyzję: przychodzi rok 1948, w kraju zasadnicze zmiany, likwidacja „trójsektorowej" zasady gospodarczej, spółki rybackiej już się nie da prowadzić ani w ramach spółdzielni, ani poza nią, wobec czego Runik ucieka zagranicę. Popiel zostaje sam, z matką Runika. Spółdzielnia proponuje mu posadę dyrektora. Przyjmuje ją — tamten brzeg sam się przybliżył.

W tym ujęciu i zakończeniu powieści tkwi jej siła i słabość. Siła, bo zamiast abstrakcyjnego konfliktu postaw moralnych mamy konflikt prawdziwie ludzki, konflikt naprawdę silnych, wyrazistych indywidualności. Ten teret Runika, Popiela i matki, na tle domu nad jeziorem gra w sposób rzeczywiście sugestywny i przejmujący. W rysunku po-

staci zresztą nigdy Domańskiego nie zawodzi pióro, po przeczytaniu książki widzę jasno charakter, twarz, gesty tych — bądź co bądź — kilkudziesięciu rybaków, spekulantów, urzędników etc. Oczywiście nad wszystkim góruje Runik, narysowany z precyzją rzadko spotykaną nie tylko u debiutantów.

Najlepszym punktem powieści wydaje mi się natomiast sam Popiel. Jego dramat nie rozgrywa się w sferze psychologii i moralności — ale gołej ideologii, nie wybiera on wśród ludzi, ale wśród „postaw". Autor „Domu nad jeziorem" zdaje sobie zresztą z tego sprawę i próbuje trochę wydomać konflikt: wprowadza jeszcze jednego spekulanta — filozofa (Mazowiec) po to, by Popiela uczynić świadkiem politycznej dyskusji (ciekawej zresztą). Każę Popielowi przeżyć operację migdałków (świeży opis zabiegów), po to, aby ukazać mu moc pieniądza i zeknąć z peperowem Witasem, który (inteligentnie i oryginalnie przy tym) ukaże mu ostateczne konsekwencje współzycia z Runikiem.

Mimo to jednak mózg Popiela śpi. Popiel jest jakiś zgaszony, oszołomiony i ta jego tułaczka od Magdy do Ireny, od Runika do spółdzielni zaczyna w końcu irtować. Nie ka demu wolno być Hamletem. Trzeba mieć na to powody natury pozaosobistej, a tych Popielowi brak. Ponieważ jesteśmy już blisko błędów powieści dopowiedzmy ostatnie słowa pochwał: Domański umie budować powieść, wie, że powieść składa się z obrazów, a nie ze zdań, wie, że czytelnik chce iść naprzód i niecierpliwi się, gdy za długo stoi w miejscu, wie, że oprócz powieści istnieje film, który potrafi opowiadać sto razy szybciej i że wobec tego trzeba przyspieszyć tempo powieści, stosować skróty, aluzje i że nie o wszystkim, co się chce powiedzieć, trzeba zaraz gadać, ale wystarczy potrącić już z góry przygotowaną struną, aby czytelnik złapał potrzebny dźwięk.

Tak się sprawa przedstawia, ale mimo to książkę Domańskiego czyta się ziele, z oporami, z irytacją, z często powracającą nudą. Ta powieść przypomina doskonałą, dobrze wysmażoną, kruchutką pieczeń zanurzoną w obrydlwym sosie.

Mamy świetny konflikt, wyrazistych bohaterów, ciekawe tło, dobrze zesztył intryge, dobrze skomponowaną fabułę — mamy wszystko, czego potrzeba do dobrej, względnie bardzo dobrej powieści; i mamy złą powieść. Czegoś tu brak i cze-

goś tu za dużo. Brak namiętności, a za dużo kalkulacji. Za dużo kalkuluje Runik i Popiel, nawet Magda, nawet Irena, nawet matka, nawet pozytywny Witas — wszyscy myślą, kombinują, rozwiązują równania moralne i polityczne — nikt naprawdę nie kocha, nikt naprawdę nie nienawidzi, nikt nie jest naiwny, nikt nie jest po prostu głupi, nikt nie jest po prostu dobry. Jest jakoś ciasno, duszno, niezręczne.

To musi głęboko siedzieć w psychicznych dyspozycjach autora, bo sama faktura powieści jest również taka przekalkulowana. Domański widzi, ale chce widzieć jeszcze lepiej. Czuję, ale chce być jeszcze wrażliwszy. Umie zaciekać, ale mnoży jeszcze haczyki sensacji. Ma styl, ale jeszcze go doprawia. Ulega wielu obcym wzorom, głównie literatury anglosaskiej i dlatego Runik i Popiel rozmawiają ze sobą językiem złych tłumaczeń z angielskiego, dlatego „przez cały czas nie ustała deszcz i nie rozwiewa się mgła, dlatego (dosłownie jak u Greene'a) w chwilach psychicznej depresji bohater (kiedy tam nie ma depresji?) pojawia się w polu jego widzenia kot szarypiący kurze jelita, dlatego Runik i Popiel (też dosłownie jak u Greene'a) wieczorem tuka komary („Jedenasty, dwunasty, trzynasty... — ciążka rozplaszczają się się na mokre smugi. W „dobrym" miejscu, koło lampy, zabił osiem s z t u k"). Wszystko to może być prawda: na Mazurach na pewno jest mgła, na pewno wszystko się pacy i pleśnieje od wilgoci, w listopadzie zwykle pada deszcz, i są komary — wszystko to prawda. Ale jednocześnie ta mgła jest londyńska, komary to moskity, milicjanci to FBI, dom nad jeziorem to Fish Hall (tak go nazywają), Runik to nie kupiec ryb, ale kości sioniowiec a Mazury bętkończy polsko-niemieckim wolpiakiem — to oczywiście „krajowcy".

Wszystko jest właściwie zgodne z prawdą, ale tak sztucznie zageszczone, że wygląda na naśladowictwo. Powieść Domańskiego przypomina te obrazy w Arsenale, na których polskie przekupki podobne do metek sprzedają pietruszki podobne do bananów. Ja trochę żartuję, ale naprawdę, autor „Domu nad jeziorem" pozwala sobie na pretensjonalność, z których trzeba tylko żartować, których powinien się pozbyc, które są jak ten przedobrzony sos psujący smak dobrej pieczeni.

Andrzej Kijowski

Ostry dyżur

(Dokończenie ze str. 3)

kiś Łukasz z „Na dnie", albo filozof z wiejskich dróg, wszystko — tylko nie komunista. Komunista robi co w jego mocy, aby zrealizować swoje słuszne poglądy, a nie ogranicza się do ich posiadania. Komunista angażuje siebie w walce, bierze na siebie odpowiedzialność. Jeśli wierzy w słuszność jakiejś sprawy — kładzie za nią głowę pod topór. Tymczasem Dąbek zaczyna od próby zrzućcia na siebie odpowiedzialności — od telefonu do KC. Cóż mu tam mogą poradzić, skoro nie znają Osinińskiego? Zasięgać opinii może u miejscowych towarzyszy z egzekutywy, ale to nie przychodzi mu na myśl, no bo porada „Warszawy" — zawsze jakoś zwalnia od własnej ostatecznej decyzji. Postępuje tak nie z nieuczciwości, ale z bierności i w konsekwencji potwierdza tym słowa Osinińskiego: mówicie jedno, robicie co innego.

Na polu walki nie ma nikogo, kto reprezentowałby partyjną postawę i angażował się w walce przeciw krzywdzie wyrządzanej człowiekowi.

Druga sprawa sporna to wybór okoliczności, w których pokazane jest całe zagadnienie.

W okresie toczącej się u nas jeszcze ciągle walki klasowej nie możemy zapomnieć o rewolucyjnej czujności, której przejawem jest także specjalna troska o życie ludzi najbardziej zaangażowanych politycznie.

Na tę sprawę sztuka zupełnie nie kieruje uwagi widza. Widz nie może być nią zainteresowany emocjonalnie z następujących powodów: Osiniński jest mu znany, umiemy go swoim intelektem, kulturą. Wywołuje sympatię stosunek doktora do pielęgniarki Zosi, którą przygotowuje na medycynę, budzi zaufanie do chirurga fakt, że w tartaku chce zorganizować bezinteresownie profilaktyczne badanie robotników. Pokazane jest nawet fragmentarycznie osobiste życie Osinińskiego: brak zrozumienia między nim i jego narzeczoną. Widz jest po jego stronie i współczuje mu. Słowem — Osiniński jest żywym człowiekiem.

Pacjent jego od początku do końca sztuki pozostaje tylko pojęciem, fantomem. I w tym starciu pojęcia i żywego człowieka zwycięża oczywiście żywy człowiek. Kiedy ze sceny padają słowa o jednakowej wartości każdego życia ludzkiego, publiczność podchwytuje je, jako argument przeciwko pacjentowi, gdyż ma żal do nieznanego, że przez niego cierpi Osiniński.

Jednakowa wartość każdego życia ludzkiego — prawda piękna i szlachetna. Właśnie o wartości życia człowieka walczył w Hiszpanii nasz pacjent, o nią bił się w pierwszych szeregach naszej rewolucji. Czemu więc dzieje się tak, że nagle prawda ta staje się argumentem przeciwko niemu? Czy między jednakową wartością życia wszystkich ludzi, a specjalną dbałością i troską o życie niektórych — zachodzi sprzeczność, czy też jedność dialektyczna?

Konkretny przykład, jednocześnie z życia i ze sztuki, niechaj pomogą nam to odpowiedzieć. Wiele osób pamięta zapewne film „Lenin w październiku". Nad Leninem czuwa bez przerwy towarzysze Wasyli gotów zawsze przyjąć na siebie ciosy, gdyby Leninowi groziło niebezpieczeństwo. Wasyli do Lenina, arcyświątka Lenina, któremu ciągle niezmiennie ciąży fakt, że drugi człowiek dla niego naraża życie, odnosi się z macierzyńską wprost czułością. Ani jemu, ani nikomu z nas na myśl nie przyjdzie, że coś tu jest nie w porządku. Pozbawienie Lenina opieki Wasylego byłoby zbrodnią wobec milionów, którym dzieło życia Lenina wskazało drogę wyzwolenia.

Wróćmy myślą do „Ostrego dyżuru". Jeśliby pacjent był widzem znany z samej sztuki, jeśliby autor uczynił go dla widza kimś bliskim, wtedy ten, widząc, że Wielgosz mały stykał się z Osinińskim, zrozumiałby jego obawy, choć może ich nie podzielał. Rozstrzygnięcie sprawy w tej sytuacji jest świętym obowiązkiem Dąbka, który zna doktora i wierzy w niego. Dąbek, jeśli jest pewien swego, głową powinien ręczyć za chirurga, tym bardziej że jest on lepszym specjalistą niż ociekający lekarz i w jego rękach życie pacjenta jest pewniejsze. Nie wolno więc ustąpić.

Życiu pacjenta grozi poważne niebezpieczeństwo i on właściwie jest w sztuce najbardziej osamotniony. Walczy o niego bowiem z całą stanowczością tylko Wielgosz. Cóż, kiedy ten przez swoje uproszczone rozumienie sprawy czujności chce powtórzyć zabieg słabszemu lekarzowi. Pacjent jest w niebezpieczeństwie nawet wtedy, gdy podejmuje operację Osiniński wyczerpany nerwowo ostatnimi wypadkami. Ale o tym wszystkim widz nie pamięta i pozostaje zupełnie obojętny wobec faktu grożącej człowiekowi śmierci, bo jego uwaga bez reszty skupiona została na sprawie Osinińskiego. Biologiczne ratowanie życia ludzkiego zamiast stać się głównym nurtem walki, w którym doskonale może zmieścić się i sprawa doktora Osinińskiego, jest tylko pretekstem do pokazania jego martyrologii. Istnieje tu chyba jakieś zachwianie etycznych proporcji.

Rzetelne zajęcie się spektaklem Teatru Narodowego, wymagałoby odrębnej dłuższej analizy. Tyle tylko teraz mogę powiedzieć, że jego koncepcja — bardziej jeszcze niż sztuka uszlachetnia Osinińskiego i osłabia Dąbka czyniąc go już zu-

pełnie bezwolnym. Przeciwdziałam tych dwóch dążeń, że Dąbek w moim pojęciu, zgodnie ze swoimi deklaracjami, powinien stać się partyjnym obrońcą Osinińskiego.

Nie było u nas jeszcze sztuki o trudnych zakrętach naszego życia. Pod tym względem „Ostry dyżur" ma znaczenie pionierskie. Publiczność tłumnie odwiedza Teatr Narodowy spragniona pozabawionego „laktarnictwa" współczesnego spektaklu. Na pewno znajduje na scenie analogię własnych bolesnych trosk. Sztuka Lutowskiego raczej pomaga jej ulżyć sobie, aniżeli zrozumieć mechanizm zjawisk zachodzących w naszym życiu. Zrozumieć nie znaczy ani pogodzić się, ani przebaczyć. U nas zrozumieć — znaczy znaleźć główny obiekt walki i głównych jej sojuszników.

Głębokie przemyslenie problemu przez samego autora mogło prowadzić nawet do zastrzeżenia konfliktu sztuki.

Kto wie, czy zagadnienie podjęte przez Lutowskiego, jeśli je doprowadzić do śpię jeszcze ostrzejszych nie mogłoby urosnąć do rozmiaru tragedii? Istnieją w naszej rzeczywistości konflikty tragiczne, a nigdy jeszcze dotąd nie stały się tematem twórczości pisarza.

Nie mamy jeszcze wstrząsającej sumieniem współczesnej tragedii. A byłaby to tragedia nowa, różniaca się w sposób zasadniczy od tego, co stworzyły dotychczas inne epoki. Tragedia, jakiej dotychczas nie było i być nie mogło. W starej tragedii ginął szlachetny bohater dlatego, że jego prawdy stały w sprzeczności z systemem ustrojowym społeczeństwa, w którym żył. Jednocześnie brak było jeszcze sił do prowadzenia zwycięskiej walki o te prawdy. W tym jej jakaś najogólniejsza prawidłowość.

Kiedy u nas ginie człowiek, tragedia na tym właśnie polega, że jest to sprzeczne z prawidłowościami naszego ustroju, dla którego właśnie człowiek jest najcenniejszą wartością. Utwór dramatyczny pokazujący takie sprawy byłby tragedią afirmującą nasz system społeczny. Celowo nie mówię „tragedią optymistyczną", a właśnie „tragedią afirmatywną". Tragedia optymistyczna bowiem nie jest nowym tworem naszej epoki. Taką jest i „Romeo i Julia" i „Hamlet" i „Otello" i „Baladyna" i „Kordian" i wiele, wiele innych. Ale ich sednem jest konflikt między bohaterem, a istniejącym porządkiem społecznym. Są one skierowane przeciwko temu porządkowi i to jest charakterystyczne dla tragedii powstających w społeczeństwie opartym na eksploatacji.

Sama zaś istota naszej tragedii z natury rzeczy afirmuje ustrój likwidujący niesprawiedliwość społeczną; u nas tragedia rodzi się właśnie ze sprzeczności między przyczynami powodującymi klęskę bohatera a podstawami naszego ustroju.

O afirmacji mówię więc nie jako o postulatcie, ale jako o konsekwencji głębokiego i prawdziwego odzwierciedlenia zjawisk. Moim zdaniem właśnie klasa robotnicza ma na potrzeby stawiania przed sztuką postulat afirmowania rzeczywistości. Był on konieczny dla klas rządzących w formacjach opartych na wyzysku człowieka. Tam afirmacja musiała zastąpić prawdę, podczas gdy jedynym i właściwym naszym postulatem jest właśnie prawda. Bez niej, bez poznania rzeczywistości jakiejś te rzeczywistości „zmieniać, jak przestaczać człowieka, wykorzeniać zło? Dzień dzisiejszy nigdy prawdziwego marksizmu nie zadowala. Istotą marksizmu jest twórczy niepokój, ciągłe dążenie do doskonałości świata. Dlatego właśnie w naszym dniu codziennym zawarta jest nie tylko pochwała już dokonanej rewolucji ale i rewolucyjności. Prawda o naszym życiu jest to prawda o ostrej walce toczącej się o coraz pełniejszą i lepszą realizację naszej idei. Już samo pokazanie tej walki daje afirmację naszego ustroju.

Trudność na tym polega, że prawda nie leży na powierzchni zjawisk, że jest to pogłębiona wiedza o człowieku i społeczeństwie, że związana jest z poznaniem mechanizmu zjawisk, że trzeba do niej docierać poprzez skomplikowany spłot współzależności oddzielnych faktów — czasem bardzo oddalonych, a jednak wpływających ze wspólnych źródeł, czasem znow zewnętrznymi podobnych a bardzo różnych w swej istocie. Trudność polega i na tym jeszcze, że objęcie myślą skomplikowanych procesów, z którymi mamy do czynienia w naszym życiu — na przełomie dwóch wielkich epok — nie ma prawa stępić w nas wrażliwość na wypadki ludzkiego cierpienia i ludzkiej krzywdy, a one z kolei nie powinny przestoić rzeczy wielkich, jakich dokonuje u nas klasa robotnicza.

Nasyć literaturę taką prawdą nie znaczy wcale pisać zawsze o wszystkim. Oto tylko chodzi, aby oddzielić zjawiska widzieć w perspektywie całości, ale aby w tej perspektywie nie zagubić człowieka. Tylko...

Przed naszą dramaturgią otwarte jest niewyczerpane bogactwo tematów i form, w jakie się one mogą oblać. Nowe sztuki powstają nie w ciżby gabinetów, ale w konfrontacji ze sceną, z opinią społeczeństwa, w ogniu sporów. Tak powstała nowa sztuka Lutowskiego. Niech dokoła niej trwają dyskusje.

Janina Ludawska

Oczyrna Anglików

Kilka uwag o charakterze Anglików

Anglicy nie lubią myśleć. Zamiast myśli mają tradycje. Na przykład tradycja home'u. Nawet Francuzi (płochy i wesoly naród, którego nie należy posadzać o jakieś sympatie dla Albionu) — woleli nie tłumaczyć tego słowa. Ale powiedzmy sobie, jak Anglicy traktują ów „le home“, ów teoretyczny i tradycyjny kręgosłup ojczyzny?

Po pierwsze — usuwają z domu dzieci i wysyłają je do internatów, gdy tylko dzieci nauczą się chodzić, oraz trzymają je tam dopóki nie dorosną na tyle, aby można było wysłać je jeszcze dalej.

Po drugie — unikają wszelkich krewnych. Wprost przeciwnie niż rasa łacińska — Anglicy rzadko mają na utrzymaniu swoje teściowe, niezamężne siostry z parą kanarków, astmatycznego wujka czy stułenią kuzynkę w pokoiku koło kuchni.

Inną tradycją, którą Anglicy zdolali wpoić nie tylko we własne, ale również w przekonania reszty świata — jest ich miłość do zwierząt. Istotnie, Anglicy mówią czule do i o swoich psach i koniach — lecz pomiędzy psami i końmi a resztą nierozumnych stworzeń została wyznaczona granica nie do przekroczenia. Lis, jeleni, borsuk, wydra, bażant i mnóstwo innych gatunków — gdyby ich zapytać o miłość Anglików do zwierząt, niewiele miałyby na ten temat do powiedzenia. Nawet domowy kot uważany jest zazwyczaj za gorszy gatunek psa, a jedyną jego cnotą jest ta, że podobnie jak jego właściciele, zabija inne, słabsze stworzenia.

Ponieważ jednak Anglicy na ten temat nigdy nie myślą, uważają się za jedyny naród na ziemi naprawdę dla zwierząt życzliwy.

W gruncie rzeczy siła złudzeń, jakie Anglicy posiadają, jest niemal nieprawdopodobna — tym bardziej, że złudzenia te nie mogą być nazwane tworem wyobraźni, ponieważ Anglicy ani nie posiadają, ani też

w ogóle nie żyją sobie posiadaczą żadnej wyobraźni. Posiadają natomiast w bardzo wysokim stopniu rodzaj wiary, którą pewien uczeń określił, jako „przekonanie, że to co wiesz jest nieprawdziwe“.

Kilka takich przekonań nasuwa się od razu na myśl. Większość Anglików mianowicie — jeżeli zmusi się ich do analizowania własnych wierzeń (czego przesią Niebo zabrania) — jest przekonana, —

że Bóg jest Anglikiem, najprawdopodobniej wychowanym w Eton, że wszystkie porządne kobiety są oczywiście zimne, że każda zmiana w Brytyjskiej Konstytucji wyszłaby tylko na gorzej,

że Anglia jest na drodze do zniszczenia i zguby,

że Anglia jest najpiękniejszym krajem na świecie,

że wszyscy cudzoziemcy mają lekkiego bzika,

że każdy kto nie zgadza się choćby z jednym z powyższych punktów, powinien być zastrzelony.

Przekonania Angielek ograniczają się do zagadnień bardziej domowych: że wszyscy mężczyźni są jak dzieci, że lepiej jest być źle ubraną, niż elegancką,

że słuchanie radia jest rzeczą chwalebna, ale czytanie powieści jest stratą czasu,

że rynek jest miejscem, gdzie można kupić wszelki towar za cenę trzykrotnie niższą, niż jest on istotnie wart, że dzieci są błogosławieństwem dla rodziców.

To, co zostało tu powiedziane, wystarczy chyba, aby wykazać, jak niesłychanie niekonsekwentni są Anglicy. Niestety, to Amerykanin pierwszy powiedział: „Odważcie się na niekonsekwencję!“

Jedną z takich niekonsekwencji, jest to, że Anglicy lubią rysunki Ponta, który ukazuje im ich narodowe życie, zdają sobie sprawę z ich prawdziwości — i pozostają nieporuszeni na tej samej drodze.

E. M. Delafield



4. Zdolność przystosowania się do warunków życia zagranicą



5. Zamiłowanie do zachowania pokoju



6. Brak talentu do gotowania

RUDYARD KIPLING Tommy Atkins

(z „Ballad koszarowych“, 1892)

Ulicą idę, patrzę: szynk. Zechciało mi się piwa.
„Żołnierzom tu nie pokaż nikt“ — właściciel się odzywa.
Dziewczęta za szynkwasem w śmiech, chichoczą, jak szalone.
Wyszedłem na ulicę znów, wędruję w swoją stronę.

O, bo „Tommy, tu!“ i „Tommy, tam!“ i „Tommy, idź już stąd!“
Lecz „panem Atkins“ zowią mnie, gdy pora iść na front,
Już pora iść na front, tak jest, już pora iść na front.
Więc „panem Atkins“ zowią mnie, bo pora iść na front.

Raz do teatru-m wybrałem się, tak trzeźwy, że aż miło:
Piłany cywil miejsce miał, lecz dla mnie go nie było.
Galerka, nawet musie-hall za dobry dla mnie będzie!
Lecz gdy do bitwy przyjdzie, kto? Już Tommy w pierwszym rzędzie!

O, bo „Tommy, tu!“ i „Tommy, tam!“ „Pod drzwiami, Tommy, stój!“

Lecz kurier dla Atkinsa mknął, gdy wojsko rusza w bój.
Już wojsko rusza w bój, tak jest, już wojsko rusza w bój,
Więc kurier dla Atkinsa mknął, gdy wojsko rusza w bój.

Drwiny z munduru, który wasz spokojny sen ochrania,
Tańsze niż mundur, choć i on ogromnie dziś potaniał!
Pędzić żołnierzy ode drzwi, gdy trochę są pod gazem,
Też lepiej, niż samemu iść w mundurze z nimi razem.

Więc „Tommy, chodź!“ i „Tommy, idź!“ i „Tommy, jakże tam?“
Lecz „Bohaterom naszym cześć!“ — gdy werble grają nam.
Już werble grają nam, tak jest, już werble grają nam,
Więc „Bohaterom naszym cześć!“ — gdy werble grają nam.

Ani bohaterowie z nas, ani ostatnie ciury.
Z nas ludzie tacy, jak i wy, choć nosim te mundury.
A że robimy czasem coś nie według waszej chęci —
No cóż, w koszarach chyba z nas już nie wyrosną święci!

Więc „Tommy, tu!“ i „Tommy, tam!“ i „Tommy, znikaj stąd!“
Lecz „Pan pozwoli w pierwszy rząd“, gdy czuć w powietrzu swąd.
Już czuć w powietrzu swąd, tak jest, już czuć w powietrzu swąd,
Więc „Pan pozwoli w pierwszy rząd“, gdy czuć w powietrzu swąd.

Mówicie: lepszy by im wikt i szkoły i tak dalej!
A możebyście wreszcie nas inaczej traktowali?
Nie zaglądajcie w kotły wciąż, lecz sprawcie, bym uwierzył,
Ze mundur Wdowy*) — to nie wstyd, nie hańba dla żołnierzy!

O, bo „Tommy, tu!“ i „Tommy, tam!“ i „Chamie, czegoś chciał?“
Ale „bohater zbawca nasz!“ — gdy pada pierwszy strzał.
I „Tommy, tak!“ i „Tommy, siak“ — cokolwiek tylko chcesz!
Lecz Tommy głupcem nie jest, nie — i wszystko widzi, wiesz?

Przełożyła Ludmiła Marjańska

*) Wdowę nazywano popularnie Królową Wiktorię.

PONT

IMPERIUM

Od afrykańskich dżungli
po Indii piękną ziemię,
wszędzie Białemu Panu
podlega białe plemię.

I obowiązkiem Białych
— jak szczytne to zadania! —
jest uczyć czarnych wstydu,
by sprzedać im... ubrania.

Zamiast pozwolić czarnym
żyć, jak im się podoba,
uczmy ich w naszych
przesadach i chorobach.

Z dolin ich wyrzucamy
w kraj górski bez oporu.
Tam zdrowie zachowają —
pilnując trzód i zbiorów.

I myśl upiorna Białych
wygania wprost z pościeli:
„Gdyby nie było Białych,
coż czarni by poczęli?“

Przełożyła L. Marjańska



7. Brak entuzjazmu do odpowiadania na listy



8. Brak sympatii do intelektualistów



9. Zamiłowanie do gier i zabaw



10. „To wygląda mi na robotę Andersona — Trupiej Główni“ — mruknął detektyw Watkins widząc trupa w wannie...

Rysunki Ponta z cyklu „Brytyjski charakter“

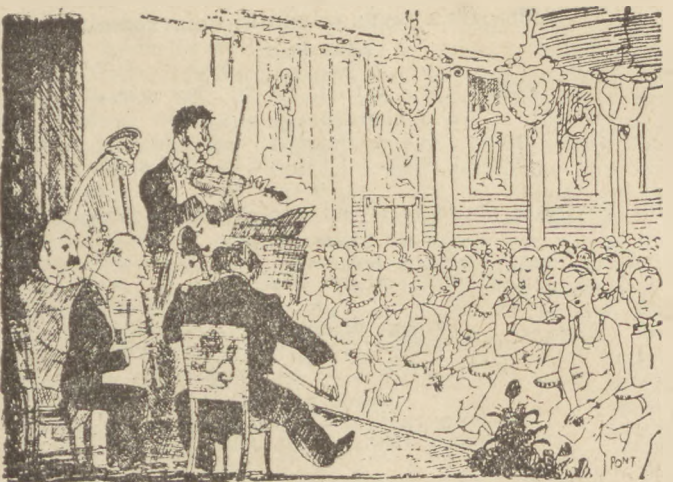
CO CECHUJE ANGLIKÓW:



1. Skłonność do niezdawiania sobie sprawy co robić w niedzielę



2. Skłonność do uważania rzeczy za nie tak dobre jak były dotychczas



3. Niezdolność doceniania dobrej muzyki